TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 30. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 9/21 kwietnia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Dr. Wilhelm Malcz (z drzeworytem),— Kronika tygodniowa.— List żelazny, tragedya w pięciu aktach przez A. Małeckiego. — Malborg (z dwoma drzeworytami). — Opinia.— Słów kilka o konkursach na komedye.— Kommunikacye, przemysł i handel. — Historya jedynaczki w 22 obrazkach, dokończenie (z pięcią drzeworytami). — Zadanie konikowe do nagrody. — Rebus.— Jezioro świerków, podanie litewskie, skréślił Bolesław Brzoza.— Myśli oderwane.— Rozmaitości.— Korrespondencya od redakcyi.— Doniesienia.

Dr. Wilhelm Malcz.

Miało Wilno swego Jędrzeja Śniadeckiego; miał Poznań swego Marcinkowskiego; miała Warszawa swego Malcza. To téż Warszawa kocha go dotąd całém sercem; to téż pamięć jego żyje i żyć będzie ciągle w tych murach, które przez lat 31 codziennie prawie widziały go spieszącego z niesieniem rady, pociechy, otuchy, ratunku, światła i życia.

Mnie los nie pozwolił poznać go osobiście. Przybyłem po raz piérwszy do Warszawy, kiedy na cmentarzu stał już oddawna nad grobem jego pomnik; lecz jeden z mych przyjaciół, którego prosiłem aby mię zaraz piérwszego dnia obwiózł po głównych ulicach Warszawy i aby mi wskazał miejsca działalności Malcza, wywiązał się z tego podwójnego, na siebie włożonego obowiązku tak sumiennie, iż mniemam że opisując krok po kroku, gdzieśmy byli i cośmy widzieli, przysłużę się tém powszechności.

Zaczęliśmy naszę przejażdżkę od placu króla Zygmunta i stojącego przy nim zamku. Ztamtąd udaliśmy się o kilkanaście kroków do kościoła św. Jana, który zamiast wspaniałego nazwiska „katedry“, lub jak w Płocku „tumu“, nosi skromną nazwę „fary“. Obejrzeliśmy główne świątyni téj pamiątki, a potém udaliśmy się ku południowi, ulicą która od Zygmunta do Kopernika zowie się *Krakowskiém Przedmieściem*, a od Kopernika do kościoła św. Aleksandra *Nowym Światem*.

Zaraz na początku, naprzeciw Nowego Zjazdu, wskazał mi mój przyjaciel przechodnią kamienicę Rezlera (dziś Piotrowskich), gdzie 30 listopada 1795 Malcz ujrzał światło dzienne. Wskazał mi okno na drugiém piętrze, z którego dwuletni Wilhelm niezawodnie byłby na bruk wyleciał, gdyby go szczęściem matka nie była w porę za odzież schwyciła. Ojciec jego, znamienity doktór medycyny i chirurgii, przeniósł się późniéj do Kocka na Podlasiu, które aż do roku 1809 do Galicyi austryackiéj należało. Z Kocka ojciec odesłał go na pensyą do Warszawy, z któréj roku 1806 Prusacy przed nadciągającą armią Napoleona ustąpili. W kwietniu 1809 połączyła się Galicya zachodnia (a przeto i Podlasie) z księstwem warszawskiém; lecz ojciec Malcza już tego nie dożył, a matka we dwa lata potém na chorobę piersiową umarła.

Zajechaliśmy przed pałac Kaźmirowski, a że to właśnie był czwartek, udaliśmy się nietylko do biblioteki, ale oraz do gabinetu zoologicznego, który od podobnych zbiorów zagranicznych tém się odznacza iż nie jest przeładowany, że widny i jasny, i że każdy szczegół ma podpis czytelny, polski i łaciński.

Dr. WILHELM MALCZ.

W wspaniałym gmachu [illegible] mieściło się za czasów księstwa warszaw[illegible]m, a rektorem jego był Linde. Ten bystrém okiem poznał był w Malczu wyższe zdolności, a dowiedziawszy się że 15-letni sierota, z lekcyj się utrzymując, sam olbrzymie w naukach czyni postępy, że wywdzięczając się zmarłym rodzicom za ich pieczołowitość, nieraz sobie ujmuje, aby się młodszém rodzeństwem opiekować, pokochał go całém sercem, równie jak inni nauczyciele: Bentkowski, Zubelewicz, Dąbrowski, ks. Szwejkowski, Chopin i Skrodzki. „Nieraz (wspominał późniéj Malcz z uśmiechem) było wtedy chłodno i głodno; ale się człowiek brał w kupę, i na popisie otrzymał nagrodę.“

Roku 1812, po ukończeniu 6éj klassy, Malcz zwidził Kraków, a przez lata 1813 i 1814 bawił w Grodzieńskiém. Wróciwszy w jesieni 1814 do Warszawy, już miał wstąpić do nowo-tworzącego się wojska polskiego, kiedy wypadek nieprzewidziany inaczéj zrządził. Malcz obrał sobie stan ojca swego, i został lekarzem.

Kształcił się najprzód pod doktorami Wolfem (Augustem), Dziarkowskim, Brandtem, Freyerem, Czekierskim i Celińskim, a wsparty życzliwością Skrodzkiego, udał się po trzech latach najgorliwszéj nauki, r. 1817 na uniwersytet berliński. Tu przez sławnego doktora Behrensa jaknajżyczliwiéj przyjęty, z takim zapałem oddał się naukom lekarskim, iż w lipcu 1818 r. stopień doktora medycyny i chirurgii otrzymał. Berlińskie wydziały i zbiory lekarskie nie były wówczas tak bogate, a podróże nie tak łatwe, jak teraz. Młody lekarz zapragnął czerpać daléj nauki medyczne u samego źródła, w Wiedniu, Paryżu, we Włoszech. Bóg mu i w tém dopomógł. Między innemi pożyczył mu wtedy funduszu potrzebnego szkolny kolega jego, Konstanty Świdziński (*).

Zwidził więc Malcz nietylko Pragę i Wiedeń, ale Paryż i Londyn, poznał tameczne instytucye, zaprzyjaźnił się z politechnikiem Stanisławem Janickim i puścił się z trzema innymi rodakami w podróż do Włoch. Wszystko badał, wszystkiemu się przyglądał, wszędzie zasoby potrzebne do zawodu swego zbiérał, wszędzie nie same głazy i nieme zbiory, ale ludzi poznawać starał się. Z uśmiechém opowiadał w późniejszych latach, jak serdecznego przyjęcia doznał w Rzymie, u rodzin polskich tamże bawiących, i o minach jakie robili poważni, pudrowani, pedantyczni lekarze włoscy, kiedy jemu, 25-letniemu, jak trzcina wysokiemu, wąsatemu blondynowi, w jasny frak przyodzianemu, udało się wyleczyć w kilkunastu dniach chorego magnata, którego oni już na śmierć skazali.

Wyszedłszy z tego przybytku nauk, ujrzeliśmy się

(*) Ten sam, który późniéj bibliotekę swoję zapisał ordynacyi margrabiów Wielopolskich, a którego życiorys zamieszczony był w piérwszych numerach naszego Tygodnika

na rogu przed szpitalem św. Rocha. Weszliśmy do téj świątyni. Mówię świątyni, bo znacie może śliczne słowa Alfonsa Esquiros: *La charité vaut la prière aux yeux même de la foi; l'hôpital est une église, ou l'on assiste Dieu dans ses malades.* (Miłosierdzie tyle warte co modlitwa, nawet w obec wiary; szpital jest świątynią, w któréj służąc chorym, służy się Bogu). W tymto szpitalu Malcz, wróciwszy (r. 1821) po 3ch latach podróży, rozpoczął praktykę w Warszawie, najprzód jako assystent dra Czekierskiego, potém jako następca jego. Kilka szybkich, szczęśliwych kuracyj i operacyj zyskało Malczowi wziętość w mieście. Przywieziono np. do św. Rocha człowieka, który w skutek uderzenia piorunu oniemiał. Malcz używa nowego wówczas środka, prądu machiny elektrycznéj, i chory, jakby cudem uzdrowiony, zawołał: „Jezus Marya!“

W tym czasie (26 grud. 1822) Malcz, mając już zapewniony byt samoistny, zaślubił Julią Ekelt, osieroconą córkę majętnego obywatela miasta Warszawy, którą jeszcze przed wyjazdem za granicę całém sercem sobie upodobał.

O kilkadziesiąt kroków daléj zatrzymaliśmy się przed domem niegdyś Towarzystwa przyjaciół nauk, a dziś akademii medyko-chirurgicznéj. Dzięki uprzejmości jednego z członków akademii, zwidziliśmy gmach cały i wzrastające coraz bardziéj zbiory onegóż, a przyjaciel mój nadmienił, że przed założeniem akademii, Malcz u św. Rocha, a Dr. Ferdynand Dworzaczek w szpitalu ewangelickim, niejednego ze światłych lekarzy krajowych wykształcili.

Malcz, pełen wdzięczności dla Dra Czekierskiego, orędownika swego, nieuleczoną chorobą dotkniętego, odwiózł go roku 1827 do Maryenbadu, i tam śmierć jego opłakał. Gdy wrócił, Towarzystwo przyjaciół nauk obrało go roku 1828 członkiem swoim, i w sali posiedzień, w obec Niemcewicza i tylu innych zacnych mężów, Malcz miał wstępną swą mowę. Nie poprzestał na niéj, ale czynem dowiódł, że godzien był zaszczytu należenia do tego grona, bo założył zaraz tegoż roku „Pamiętnik lekarski,“ którego, (jak żartobliwie mawiał) był z początku sam jeden redaktorem, wydawcą i prenumeratorem. „Pamiętnik lekarski istnieć *musi*, (są to słowa Malcza) bo tego wymaga dobro ziomków i honor kraju.“ I przeżył pamiętnik ten wszystkich braci swoich treści poetycznéj, historycznéj, gospodarskiéj i przemysłowéj, Dziś już liczy lat 32 życia i pod światłą redakcyą zacnego Dra Włodzimirza Dybka coraz bardziéj się wzmaga.

Nowym światem udaliśmy się w aleje. Po drodze okazał mi mój przyjaciel „Dom sierót i ochron“ na Nowym świecie, szpital św. Łazarza przy ulicy książęcéj i Instytut głuchoniemych na placu św. Aleksandra. Do składek na piérwszy przyczynił się i Malcz niemało, jako przyjaciel Jachowicza i Janikowskiego. Jeszcze nim nowy szpital św. Łazarza założono, Malcz usiłował nieść pomoc nieszczęśliwym, przez przetłumaczenie i wydanie (roku 1825) *Wykładu zjawień choroby syfilitycznéj Dra Lagneau.* W Instytucie głuchoniemych Malcz, jako przyjaciel ks. Falkowskiego, od samego początku aż do śmierci swojéj pełnił obowiązki lekarza.

Nadszedł rok 1831, a w dniu 11 kwietnia wybuchła po raz piérwszy na ziemi polskiéj cholera w wojsku, w okolicy Kałuszyna. Idąc wolnym krokiem od Indyj, przeskoczyła ona nagle przestrzeń od morza Czarnego do Igań. Świat lekarski, nie znając jeszcze tego potworu azyatyckiego, niesłychaną trwogą przejęty, zarządził odcięcie pułków chorych (pod Kuflewem i Cegłowem) i opasanie Warszawy kwarantanną, a przestrach mieszkańców do wysokiego posunął się stopnia. Wtedy Malcz piérwszy rzuca się pośród wojskowych cholerycznych dla poznania téj choroby; genialném okiem bada ją, i słowami: „Cholera nie jest zaraźliwą!“ zrzuca wszelkie zapory kwarantanny, przywraca ufność i komunikacyą, każe cholerycznych z obozów zwozić do Warszawy, urządza dla nich oddzielny szpital w pałacu „Bagatela,“ ustanawia w nim dyżur lekarski i sam piérwszą noc w nim przepędza. Ten heroiczny czyn, który tysiącom, krociom życie uratował, i dla innych krajów stał się skazówką postępowania, zjednał Malczowi imię europejskie.

Właśnieśmy przejeżdżali koło ogrodu botanicznego i obserwatoryum astronomicznego. „Oto pałac belwederski, zawołał mój przyjaciel, a oto, ku rogatkom mokotowskim pałac „Bagatela“ (dziś hr. Szembeka), o którym mowa.“

Malcz jeszcze tego samego roku (1831) ogłosił zdanie swoje o leczeniu cholery w dziełku: *O cholerze indyjskiéj epidemicznéj.* Obok tego wydał: *Rady dla matek polskich, obejmujące przepisy pielęgnowania i hodowania dzieci w piérwszych latach życia.*

Tak, kiedy wojna i zaraza dziesiątkowały prawie ludność kraju, Malcz poczytał sobie za obowiązek nietylko ratować żyjących, ale oraz myśléć o przyszłém pokoleniu.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Odbyło się kilka *przyjęć* tańcujących i kilka *przyjęć* muzykalnych, a z umysłu używamy tego wyrazu, nie można już bowiem nazwać tego wieczorami. Są to jeszcze resztki świątecznego ruchu, są to jeszcze ostatnie wysilenia salonów, które powoli pustoszeją pod wpływem śpiewu rozbudzonego ptastwa, wzywającego do ogrodów i w pola.

Owóż czy wiécie jaka teraz najważniejsza kwestya zajmuje Warszawian? Przez ostatni lat dziesiątek, zamiejskie letnie mieszkania bardzo tu weszły w modę. I nie można się temu dziwić. Choć Warszawa w bardzo jest piękném położeniu, bo na wzgórku i nad rzeką, chociaż po większéj części posiada ulice szerokie, domy niezbyt ścieśnione, placów niemało i ogrody takie, jakiemi rzadko które miasto może się poszczycić, to jednak pod względem hygienicznym gród nasz, mianowicie w lecie, niebardzo się odznacza.

Bo to jak tylko podeschnie, a słońce trochę zagrzeje, w miejscach najbardziéj tu uczęszczanych na Nowym Świecie i Krakowskiém Przedmieściu, kurz nie do wytrzymania. Kurz zaś ten, na który żadne kropidło, chociażby dwa razy w dzień używane, nie pomoże, pochodzi z drogi zwirowéj, ciągle rozcieranéj kołami powozów. Nikt nie pomyśli o zlewaniu trotuarów wodą, a rynsztoki nasze i kanały mogłyby konkurować z niektóremi azyatyckiemi miastami. Pod tym względem dziwnie przywiązani jesteśmy do starodawnych pamiątek. Kanały nasze mają wielką archeologiczną wartość, ale tylko archeologiczną.

Nic więc dziwnego że na wiosnę i lato, kiedy pod wpływem słońca następuje rozkład tych wszystkich złych pierwiastków nagromadzonych na ulicach, wszystko pragnie uciekać za miasto. Mokotów i Wierzbno mnóstwo zyskują mieszkańców, toż samo kolonie za rogatkami powązkowskiemi, marymonckiemi i za Pragą, a przy najbliższych stacyach kolei żelaznych, urządzono prawdziwe przedsiębierstwa letnich mieszkań na wielką skalę. Kto tylko może, wyjeżdża tam, a pozostają jedynie w Warszawie ludzie ściśle związani z miejskim brukiem i z potrzebami miejskiemi. Być może iż za jakie tam dziesiątki lat, jak się to dzieje ze wszystkiemi większemi miastami, z tych letnich mieszkań porobią się przedmieścia, a te znowu kiedyś w swoim czasie do miasta włączone będą. Dotychczas jednak Warszawa ma się gdzie rozserzać; przestrono jéj w okopach, i wiele jeszcze miejsc niezabudowanych, wiele ulic pustych zostaje.

W bieżącym roku jednak miasto nasze znacznie się ożywi i zabuduje w wielu punktach. Przerobienie gmachu zwanego Ordynackie na Instytut muzyczny, który jak słyszeliśmy w tym roku ma być gotowym, znacznie wpłynie na ożywienie téj części miasta, bo pod cieniem takiego gmachu, jak pod skrzydłami starszego brata, gromadzą się zaraz nowe budowle i sklepy. Już słyszeliśmy że tam zaraz blizko zakupiony jest plac na ochronę, któréj budowa wkrótce rozpocznie się.

Na ulicy Marszałkowskiéj, któréj większaczęść po za drogą Jerozolimską zajęta jest wyłącznie przez ogrody i letnie mieszkania, ma podobno być wzniesioną nowa fabryka tabaczna. Taka fabryka starczy zaraz na zaludnienie całéj prawie ulicy, robotnicy bowiem muszą szukać mieszkań najbliższych, a za nimi ciągnie w ślad cały rój przemysłowców i handlarzy, którzy z nich żyją. Już i tak kolej żelazna z każdym rokiem nowe przywabia tłumy ludności w tamte strony. Domy i place w téj części miasta w dwójnasób prawie poszły w górę i bardzo są poszukiwane.

Na ulice znowu nadwiślańskie, jako to Czerniakowską, Solec, i t. d., zbawiennie wpływają fabryka gazu i zakłady żeglugi parowéj hr. Andrzeja Zamojskiego. Tam także coraz nowe powstają budowle, chociaż arystokratyczna część miasta nie wié wcale o nich i zdziwi się niemało, gdy kiedyś, wyjrzawszy z za pagórka, zobaczy młodszą siostrę, owego pogardzonego kopciuszka, tak pięknie przystrojoną. To dopiero początek, ale podobnoć o ten najtrudniéj. I tu kwestya kanałów jest także żywotną, bo za każdym wylewem Wisły woda, pomimo wału i bulwarku kamiennego, mający chronić tę część miasta od zatopu, dostaje się kanałami na ulice, wchodzi do mieszkań, napełnia piwnice, podrywa fundamenta i nieocenione nieraz zrządza szkody. Ostatnim razem przy wylewie jaki miał miejsce na święta wielkanocne, woda przez tydzień prawie stała po ulicach, a w niektórych miejscach dochodziła do przeszło dwóch łokci wysokości. A trzeba baczyć że wszystkie tam domy są parterowe, po największéj części drewniane, że w nich mieszka biedna, fabryczna, wyrobnicza i rzemieślnicza ludność. Przez te kilka dni więc całe rodziny, z dobytkiem domowym jaki można było wyratować od potopu, musiały się mieścić na dachach, a o żywność trudno było, jakby w czasie jakiego oblężenia, musiano ją dowozić łódkami. Najdziwniéj pomiędzy innemi wyglądały beczki z piwem, wożone na samorodnych okrętach, t. j. katnarach czyli długich a wązkich naczyniach drewnianych, w które ściekają drożdże.

I któżby jednak powiedział że istnieją zamiejscy mieszkańcy, dla których te peryodyczne wylewy są prawie dobrodziejstwem. Siekierki na przykład za każdym razem zalane są całe, i budowle i grunta. Owóż Wisła dla Siekierek i innych wielu wiosek okolicznych sprawia toż samo mniéj więcéj dobrodziejstwo, co Nil dla Egipcyan. Woda, wycofawszy się, pozostawia po sobie mnóstwo mułu, który jest najlepszym nawozem i po każdym takim wylewie bywają obfite urodzaje, które opłacają z lichwą szkody powodzią zrządzone.

Z prowincyi nam donoszą, że w tych czasach ospa wielkie zrządzała szkody w niektórych okolicach; w Warszawie miały miejsce także pojedyncze wypadki. Powinnoby to zachęcić ludność do korzystania z dobrodziejstwa szczepienia ospy, które jak wiadomo władza poleciła darmo udzielać żądającym. Wszakże w pismach publicznych kilkakrotne były o tém ogłoszenia zarządu lekarskiego; polecano nawet osobom które już raz miały szczepioną ospę, ponowić tę operacyą, bo w wielu wypadkach przekonano się, że jednokrotne szczepienie nie wystarcza. Zaniedbanie w takich razach jest bardzo szkodliwém; dziedzice mianowicie powinniby nakłaniać ludność wiejską do stosowania się do tych zbawiennych przepisów, które niezawsze są uszanowane jak należy.

Dwa mieliśmy koncerta, jeden w resursie kupieckiéj, drugi w cyrku, obydwa za staraniem p. Kątskiego urządzone. Szkoda tylko że takie wielkie zebrania koncertowe aż w cyrku muszą szukać pomieszczenia, trudnoby im bowiem było znaleźć gdzieindziéj dość miejsca dla siebie.

Przedewszystkiém Warszawa potrzebowałaby jeszcze jednego albo dwóch wielkich salonów, w którychby można urządzać nadzwyczajne widowiska. Zwłaszcza na koncerta, okazuje się brak prawie zupełny sali dość obszernéj i akustycznie urządzonéj Rzecz pewna iż uroczystości w cyrku tracą wiele z powodu miejsca w którém się muszą odbywać. A trudno je urządzać gdzieindziéj, tyle jest żądających biletów, zwłaszcza że dochód z nich stanowi jeden z najważniejszych zasobów wznieść się mającego Instytutu. Komitet resursy nowéj, któ y obecnie wznosi z funduszów téj instytucyi gmach na jéj pomieszczenie, powinienby uwzględnić ten brak dogodnego koncertowego salonu i starać się mu zaradzić. Stanowiłoby to nawet dla resursy niemałe źródło dochodu, przez cały rok bowiem nie zbrakłoby amatorów na najęcie takiego salonu.

Przeszły tydzień dostarczył nam na scenę jednę z premiowanych sztuk, najstarszą z szeregu, *Konkurenta i męża* p. Korzeniowskiego. Komedya ta była już przed rokiem drukowaną w Gazecie Warszawskiéj. Ci nawet którzy ją czytali w rękopiśmie, a pamiętali z druku, uważali ją jako nowość. Bo w istocie *Konkurent i mąż* podwójnie zyskał w przedstawieniu, co popiera zdanie nasze gdzieindziéj wypowiedziane, iż źle robią ci, którzy komedyą sądzą nie z desek teatralnych.

Cieszy nas że publiczność potrafiła ocenić te delikatne odcienia dowcipu i poznania serca ludzkiego, pokryte błyszczącą gazą przyzwoitości salonowéj.

Utwory tego rodzaju jak *Konkurent i mąż* wyłącznie od gry artystów zależą; miernie oddane mogłyby się nawet nie podobać i znudzić, i wielka część powodzenia téj sztuki na scenie warszawskiéj należy się artystom naszym.

Przedewszystkiém kto jak pan Królikowski potrafi zrozumieć wiérsz i oddać najdelikatniejsze jego odcienia, ten już z artysty odtwarzającego, staje się twórcą roli wraz z poetą.

Wybornie wspomogła go w oddaniu swojéj roli p. Palińska. U niéj wszędzie zachowana przyzwoitość i godność, w oddaniu nawet najdrażliwszéj sceny małżeńskiego pożycia, którą grą swoją uszlachetnić potrafiła, wzbudzając jednak prawdą oddania szczerą wesołość widzów. Panna Łapińska rolę przyjaciołki odegrała bardzo dobrze.

Dawno to już uznana prawda, że przykład wiele może. Owóż ogłaszaliśmy w zeszłym tygodniu o nowym konkursie składkowym na komedyą; mówiliśmy także dawniéj już trochę o konkursie na dramat, który dyrektor teatru krakowskiego zamierzył urządzić, chociaż żadnego urzędowego zawiadomienia w téj mierze niéma. Dzisiaj notujemy jeszcze jednę zupełnie nową konkursową wiadomość. Oto w pewném towarzystwie znakomitych urzędników postanowiono zebrać składkę, także z przeznaczeniem na nagrodę za najlepszą komedyą. Składka ta, jak słyszeliśmy, wysokością kwoty ma przenieść wszystkie dotychczasowe nagrody konkursowe. Ponieważ dzisiaj Tygodnik daje osobne uwagi o konkursach i ich warunkach, odsyłamy czytelników do nich, a notujemy tylko fakt bardzo znaczący, dowodzi on bowiem dobréj woli oświeceńszéj części publiczności naszéj i dbałości jéj o dobro i pożytek literatury. Z tego czerpać można przekonanie, że poczciwych chęci u nas nie zbraknie, byleby tylko ci, którym dano jest wpływ na ogół wywierać, umieli go na właściwą pokierować drogę. Ciągłe sarkanie i użalanie się na wszystko i na wszystkich, wyszukiwanie złego w każdym nowo wydarzającym się objawie na nic się tu nie zda; bądźmy zadowoleni z tego co już mamy, a ciągle *radzi lepiéj*. W bieżącym roku publiczność dała nam już kilka, i to bardzo silnych i przekonywających dowodów, że ją zajmują nauki, sztuki i literatura, że pragnęłaby, o ile ją na to stać, przyjść w pomoc poczciwym usiłowaniom. To już bardzo wiele, bo przy takiéj zachęcie ze strony ogółu, wiele bardzo ważnych przeprowadzić można nowości.

W inne fakta miejskie tydzień ubiegły nie obfituje. Warszawa się przeprowadzała, czyściła, myła, szorowała, zdejmowała okna dubeltowe i woskowała posadzki. Żony zrzędziły, a mężowie uciekali z domów przed porządkami, które bywają dla nich najstraszliwszém przejściem gospodarskiém. Zwykle w takich razach zyskują restauracye i winiarnie, ale o tém sza! żeby panie żony nie dowiedziały się przypadkiem, bobyśmy się stali niewinną przyczyną nowych niesnasek domowych. Futra idą na przechowanie do kuśnierzy, nowe stroiki wiosenne pokazują się po ulicach. Pytaliśmy się w niektórych sklepach o cenę takich stroików. Modny płaszczyk damski na tę krótką tylko porę kosztuje złp. 500!! (sic) i jeszcze nie jest to wcale nic szczególnego. Kapelusz za złp. 100, to także zwyczajny ubiór. O sukniach już nie mówimy, ale niestety wcale się nie zmniejszają w objętości. Podobno zebrało się towarzystwo mężczyzn, którzy za pomocą składki wszystkie kucharki zaopatrują w krynoliny i wysyłają na ulicę dla wzbudzenia konkurencyi. Wprawdzie, jak nas upewniała jedna modniarka, w bieżącym roku perkaliki będą w modzie; ale nie cieszcie się zbyt z tego szanowni mężowie, bo cena tych perkalików będzie podwójną i potrójną, mają one bowiem w cienkości wyrównywać batystom, a jak wiadomo co figiel to grosz.

I cóż mam odpowiedzieć pięknéj, jak się domyślam, czytelniczce, która zaszczyciła mnie dwuarkuszowym listem z użaleniami na płeć męzką, że się nie chce żenić? Wszystko co ona tam mówi jest bardzo przekonywające, ale przy obecnym stanie utrudnionego zarobku i wygórowanych potrzebach trudna na to rada. Chybaby wypadało nam zakładać, jak to się dzieje w Lyonie, bractwo wyposażania biédnych panien, albo téż nadawać nowe przywileje mężczyznom wstępującym w związki małżeństwa i opodatkowywać starych kawalerów, jak to miało miejsce u niektórych narodów starożytnych, a nawet jak dziś we Francyi projektują.

LIST ŻELAZNY,

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

przez

A. MAŁECKIEGO.

Na Rusi, wedle przytoczenia autora pamiątek Soplicy, żyło dziwne podanie o rodzinie Ciechanowieckich. Mamka, chłopka służąca w téj rodzinie, miała podstawić własne dziecko w miejsce syna państwa swoich, i w późniejszym dopiero wieku, tknięta wyrzutami sumienia, wyznała wszystko przed najbliższemi krewnemi państwa, dla których w razie bezdzietnéj śmierci spadek przypadał.

Ztąd sprawa w grodzie, zarzut *imparitatis*, i podejrzenie straszliwéj zbrodni, za pomocą któréj starano się owę sprawę uciszyć, podejrzenie stwierdzone późniejszą pokutą klasztorną młodego Ciechanowieckiego.

Jak widzimy, przedmiot to przypadający do najobszerniejszych nawet ram tragicznych: zbrodnia przeciwko naturze, jedna z takich, które posłużyły za tło do najznakomitszych starożytnych i nowożytnych arcydzieł.

Pan Małecki, pragnąc uczynić groźniejszym ten miecz Damoklesa, który wisi nad głową bohatéra komedyi, stawił go u boku króla, dając mu wpływ na sprawy krajowe, którym przeważny a zbawienny dla ojczyzny pragnie nadać obrót. Młody Ciechanowiecki, zaręczony z córką starosty grodu w którym rzecz się toczy, widzi cały byt swój, wszystkie nadzieje kraju z nim związane, wszystkie marzenia szczęścia własnego zagrożone, rozchwiane, spełzłe w proch jedném zeznaniem téj staréj wieśniaczki, którą znał dotąd za mamkę, któréj za matkę uznać nie chce. Ale to zeznanie które ona uczyniła, ona jedna tylko cofnąć może. Starosta ułatwia Ciechanowieckiemu widzenie się z Martą (tak się zwie owa wieśniaczka) w więzieniu grodowém, gdzie osadzoną została; tam syn z matką stają w obec siebie. Scena ta nader efektowna, grzesząca jednak niewytłumaczonym chłodem ze strony syna, w obec niezaprzeczalnych dowodów macierzyństwa, dowodów nie z pisma ani dokumentów, ale z mowy i serca téj bolejącéj matki crerpanych, kończy się przyrzeczeniem jéj cofnięcia wszystkich zeznań. Pan Ciechanowiecki zaś, żeby uwolnić ją od kary gardłowéj, którą w takich razach prawo na oszczerców naznaczyło, ma wyrobić u króla list żelazny przebaczenia. Staje się więc wszystko według tego, Marta swoje zeznanie cofa, krajczy wraca z Warszawy z listem żelaznym, ale już wieść o téj sprawie rozeszła się po kraju, i nieprzyjaciele krajczego, krewni którzy dybią na ogromny majątek będący w jego posiadaniu, rozgłaszają wszędzie że Marta jest jego rzeczywistą matką, że uległa namowom, że starosta, jako przyszły teść krajczego, starał się uciszyć sprawę, że jednak kary śmierci nie będzie, bo tak krajczy jak i starosta będą się lękali posunąć do tak straszliwéj zbrodni. Przychodzi list od króla, król w niebezpieczeństwie, król wzywa krajczego do siebie i każe mu ślub przyspieszyć.

Na przeszkodzie do tych wszystkich zamiarów jedna tylko kobiéta, Marta, a krajczy na jéj widok nie usłyszał nawet w sercu swojém tego głosu natury, który każdemu dziecku jest wrodzonym. Nadchodzi chwila stanowcza: moc złego, która w nowszych sztukach odgrywa role starożytnego fatum, bierze górę, i krajczy drze list żelazny, a wyrok śmierci świéżo podpisany przez starostę, upewnionego że tym listem wyrok unieważnionym zostanie, wręcza podstarościemu do wykonania. W akcie piątym następuje kara, kara straszna równająca się całéj zgrozie jaką starożytni autorowie otaczali winowajców swoich. W chwili kiedy już ślub ma nastąpić, starosta, dowiedziawszy się o wykonanéj zbrodni, któréj pomimowolnie stał się wspólnikiem, pada rażony nagłą śmiercią, przy jego marach piorun zabija jego córkę a przyszłą żonę krajczego, ten zaś ostatni, przytłoczony pomstą niebios, wyznaje swoję winę i idzie pokutować do klasztoru.

Wymagania sceniczne kazały skrócić nieco całą sztukę i zmienić to rozwiązanie usunięciem postaci kapłana, która stawała tu jako najwyższa moralność i odgłos woli Bożéj.

Zdawna już i z upragnieniem oczekiwaliśmy na scenie naszéj ukazania się takiego dzieła jak list żelazny. Jest to sztuka napisana sumiennie, obmyślana z rozwagą, a obrobiona z całą ścisłością człowieka, który nie lubi lekceważyć pracy puszczonéj na widok publiczny. Koloryt czasowy, w drobnych nawet przebija się tam szczegółach, ton poważny zachowany wszędzie, charaktery uwydatnione wedle planu i utrzymane do końca, całe wiązanie sceniczne obmyślane dobrze, akcya nie biegnie wprawdzie gorączkowo, ale idzie ciągle widocznym postępem.

To są, można powiedzieć, zewnętrzne zalety téj tragedyi, największa jednak jéj wartość leży w sięgnięciu do wyżyn sztuki torem dawnych mistrzów, których w dzisiejszych czasach zabaczyliśmy wszyscy, zajęci smętném zbieraniem zwyczajności codziennego prozaizmu. Autor widocznie na wielkich kształcił się wzorach i w nich szukał sobie modły. Pominął on zwyczajne, tak poszukiwane teraz efekta, ani chciał zaczepić o cały przybór dziś wyrobionych już kolejek dramatycznych. Chciał on z kamienia wykuć posągi do swojego dzieła; jeżeli tu i owdzie pomylił się w proporcyi i w punkcie widzenia, a niestety, jak niżéj powiemy, w najgłówniejszéj miało to miejsce postaci, to tutaj sam nastrój duchowy wiele już znaczy, a nie każdemu śmiałym i pewnym krokiem dano jest stąpać po wyżynach sztuki. Geniusz zaledwie sam tę stromą drogą bez pośliźnięcia przebiedz jest zdolny.

Jeden z najważniejszych czynników serc ludzkich, uczucie które dziecko z matką spajać winno, wzięty jest za tło do rozwinięcia na niém walki osnowę dramatu stanowiącéj. Nie przeciwstawiona tu miłość krajczego do Heleny, zbyt ona bowiem blado wychodzi w całém dziele, a zresztą autor widocznie chciał ju umieścić na drugim planie, ale powinność obywatelska, ale potrzeba wzmożenia i ocalenia kraju, ale wszystko to co człowieka wiązać powinno do życia i silnie korzenić do téj ziemi na któréj wzrósł. Całe położenie krajczego zagrożone, przeszłość i przyszłość stają przed nim, dopominając się ofiary. Ofiara to straszliwa, ofiara przeciw naturze, ofiara na którą się wzdrygać powinien każdy człowiek, w którego serce Bóg umieścił choć kroplę miłości swojéj.

Otóż tu właśnie ten szkopuł o którym wspomnieliśmy. Autor, pragnąc widocznie wykazać że najszlachetniejsze instynkta wpajane są w serce wychowaniem i biegiem wypadków, pomylił się biorąc naturę nie za matkę, ale za macochę. Ciechanowieckiemu ani na chwilę nie zadźwięczała w sercu miłość do matki, którą przyuczył się z dawna jako obcą sobie uważać istotę. W obec skarbów uczucia matczynego, serce to synowskie milczy, jednym wyrazem, jedną łzą nie poprze ono prawa Bożego; przemawia w nim sumienie, wstręt do zbrodni, wszystkie uczucia miotające sercem w tak straszliwych chwilach; wszystkie, oprócz jednéj miłości synowskiéj. Po spełnieniu dopiero zbrodni następuje żal, rozpacz i pokuta, ale czyliż te starczą, czyliż naturze ludzkiéj zadosyć się stało? Czy może istnieć w życiu taki posąg spiżowy, nieprzystępny najtkliwszym porywom serca? Niech nam na to zapytanie odpowiedzą dzieci, które po długiéj rozłące poznają matkę, chociażby w najwstrętniejszéj dla nich postaci (*).

(*) Niepodobna nam w tym względzie godzić się ze zdaniem naszego sprawozdawcy. Uczucie miłości dziecęcéj święte jest zapewne i silnie w piersi ludzkiéj zaszczepione; lecz najspojniejszém jéj ogniwem jest owa nić świadczonych i doznawanych dobrodziejstw, snująca się od kolebki pomiędzy dziecięciem a jego rodzicami, gorąca wdzięczność za odebrane wychowanie, a następnie wspólność pojęć, wyobrażeń i stanowiska społecznego. Miłość instynktowa istnieje po stronie rodziców, a szczególniéj matki, ale jéj niéma i być nie może po stronie dzieci; to zaś co pospolicie nazywamy *głosem natury*, zupełném jest urojeniem. Czyż podobna aby możny Ciechanowiecki, mający przed sobą otwartą drogę do najwyższych w rzeczypospolitéj dostojeństw, z radością powitał matkę w prostéj wieśniaczce, gdy to odkrycie burzy całe jego życie przeszłe i przyszłe, obala gmach najświetniejszych nadziei? Byłoby to zaprawdę *po anielsku*, ale nie *po ludzku*. My w walce jaką stacza z sobą krajczy widzimy owszém głęboką prawdę psychologiczną; długoletnia zaś pokuta po spełnionéj zbrodni czyni zadosyć i wymaganiom etycznym. (Przyp. red.)

Niewątpliwie że tym sposobem nieskończenie uprościło się zadanie autora, łatwiejsze jest przejście. Ten syn wyrodny, od piérwszego poznania matki swojéj, snadniéj usuwa ciężar niedogodny, który nieprzebytą zaporą stanął na jego drodze. Ale czy prawda w sztuce zyskała na tem? a cóż jeżeli nie ona powinna stanowić zasadę dzieł wyższych. Walka z fałszywego wyprowadzona punktu, traci na sile, ciosy błędnie wymierzone mijają się z celem. Zimno więc wieje ze scen najpatetyczniejszych, zgroza, przerażenie ogarniają słuchacza, ale struna prawdziwego uczucia milczy. Ten człowiek nam jest obcym, w tym wyjątku nie uznajemy najszlachetniejszéj strony natury ludzkiéj. Jakżeż go żałować, jakżeż boléć z nim, kiedy sam się oblókł lodową powłoką, któréj łza serdeczna nie przebije?

Za to miłość matki skreślona z całą prawdą na jaką zdobyć się mógł silnie czujący dramatopisarz. Ta postać matki występująca z początku trochę deklamacyjnie w długich opowiadaniach swoich, może ze zbyt wysokim nastrojem na piérwszy zawiązek sztuki, zwłaszcza gdy ten nastrój dano nam oglądać w prostéj bez wychowania kobiecie; ta matka w scenie z synem w więzieniu w każdym wyrazie jest samą prawdą, samém uczuciem. Tak tylko wyrażać się może ta, która w braku pokarmu krwią własną żywić zdolna płód swojego łona, która dawszy mu życie, stokroć jeszcze własne życie poświęcić dlań gotowa.

Pomijamy wszystkie inne drugorzędne postacie, dobrze zresztą i konsekwentnie skreślone, zwłaszcza postać samegoż starosty; nie będziemy również zaczepiać o pomniejsze błędy, pochodzące może z braku wprawy scenicznéj, a zastanowimy się jeszcze tylko chwilę nad zakończeniem.

Zakończenie to wydaje się jakoby odrębne od samego toku sztuki, w gruncie rzeczy jest ono jednak koniecznym jéj wypływem, albo raczéj nieodwołalnym skutkiem pojęcia, jakie sobie autor o wymaganiach tragicznych utworzył. Piérwsza kara niebios przychodzi zaraz w ślad za zbrodnią; widoczne tu wdanie się opatrzności, która, wedle widoków swoich, prostuje drogi ludzkie, nagradza i karze. Walka woli ludzkiéj z niezbłaganą koniecznością odbyła się, złe przemogło, człowiek słaby upadł, a sądząca prawica Boga natychmiastowy wyrok oznacza. Wyrok ten straszliwy uderza w to wszystko, co drogiém było winowajcy. Nie on rażony piorunem, życie dlań jest straszniejszą karą, wpośród któréj niezbadane miłosierdzie Boże otwiera dlań drogę do pokuty. Grom Boży uderzył w sprawiedliwych; padli oni jak Kleobis i Bion, którym śmierć za najwyższą nagrodę poczytaną została. Zbrodniarz żyje i cierpi, wyznaje grzéch i pokutuje; Eumenidy musiały miéć swoję ofiarę, i ta ich nie minęła.

Z najwyższą oględnością musimy się tu odzywać o grze artystów naszych, i przedewszystkiém należy im się szczere uznanie za staranność, jakiéj każdy z nich dał dowody w przedstawieniu téj sztuki.

Pan Rychter i panna Palińska mieli najtrudniejsze zadania.

Pan Rychter w roli odrębnéj od charakterów zwykle przez niego grywanych, okazał wiele siły i zapału. Nie mógł wlać w nią uczucia, którego jéj autor nie nadał, ale przez cały ciąg sztuki utrzymał się w godności tragicznéj, nie słabnąc aż do końca. To co zależało od artysty, było zrobioném sumiennie i poprawnie; nie jego jest winą jeżeli w trudnych warunkach, w jakich się obecnie znajduje scena nasza, przychodzi niejednemu brać na siebie ciężar nieodpowiedni rodzajowi sił jego. Podwójne on przełamywał trudności, podwójna téż mu się należy za to wdzięczność.

Pannę Palińską piérwszy raz widzieliśmy występującą w roli czysto tragicznéj, w roli wychodzącéj po za kres charakterów oznaczanych jéj dotąd w repertoarze. Panna Palińska w piérwszym akcie zazbyt może wysoki przybrała nastrój, czém się uwydatniły wady téj roli, z początku wlokącéj się i za bardzo patetycznéj. Za to w scenie z synem wywołała ona jedyne może szczére, uczuciowe wrażenie, jakie sztuka sprawiła na słuchaczach. To wysoka bardzo zasługa. W grze panny Palińskiéj, w téj najważniejszéj dla niéj scenie, widzieliśmy prawdę, nie krzyk ani deklamacyą, a do takich rezultatów dojść tylko może istotny talent, przy szczéréj pracy i sumiennych studyach nad sztuką.

WIDOK PÓŁNOCNÉJ STRONY ŚRODKOWEGO ZAMKU W MALBORGU.

Pan Chomanowski oddał swoję rolę dobrze, z przyzwoitą miarą i powagą. Śmierć w piątym akcie wysokie sprawiła wrażenie, bo umiał je wywołać dobrém cieniowaniem gry i zastosowaniem jéj do tego ostatecznego rezultatu.

Pan Trapszo pod względem charakterystyki i gry wywiązał się sumiennie ze swojego zadania.

O pani Rakiewiczowéj i panu Chęcińskim, który zawsze w wierszowanych sztukach odznacza się dykcyą piękną i poprawną, z pochwałami nam się odezwać należy. Pan Panczykowski był wybornym marszałkiem dworu; artysta ten w takich rolach staréj szlachty jest zawsze niezrównanym.

Wacław Szymanowski.

MALBORG.

W trzecim numerze naszego Tygodnika daliśmy opis zamku malborgskiego i rysunki trzech jego stron; dzisiaj umieszczamy widok czwartéj, czyli północnéj strony środkowego zamku, podług ryciny głośnego malarza Schultza, professora w Gdańsku. Widzimy tu długi szereg gotyckich okien i zgrabnych nad niemi blanków; po obu końcach budynku wznoszą się wspaniałe frontony, ozdobione gotyckiemi wieżyczkami, spiczaste łuki i sztukaterye w smaku wytwornym. W narożnikach, z obydwóch stron, sterczą poszarzałe wiekiem strażnicze wieżyce, co milcząco unoszą się nad blankowemi murami zamkowego cmentarza. W ośmiobocznéj narożnéj wieży, umieszczonéj po prawéj stronie ryciny, jest ośmiokątna izba, do któréj, prócz wewnętrznych kręconych wschodów, wiedzie z wyższéj części zamkowéj ponad sklepionym łukiem, ganek kamienny. Z okien téj izby rozpościera się obszerny widok na dawne przedmieście, a z boku na Nogat i na rozległe, dalekie błonia. Stary, zwodzony most prowadzi do bramy, przez którą wchodzi się wewnątrz zamku. Nowowybudowane jéj odrzwia przyozdobione blankami i ostremi gotyckiemi wieżyczkami; pośród nich błyszczy na czerwonym murze herb wielkiego mistrza: złoty krzyż liliowy na czarnéj krzyżownicy i srébrzystéj tarczy. W środku dzisiaj rozpostarł się széroko czarny orzeł pruski. Lewe skrzydło téj strony zamku obejmowało mieszkanie wielkiego komtura i jego służby, które odznaczało się niezwykłym przepychem, w prawém zaś mieściła się infirmerya dla chorych i osłabionych wiekiem rycerzy. Dzisiaj w całéj téj części zamku mieszkają urzędnicy.

Druga zamieszczona tutaj rycina wyobraża wieżę zwaną *strażnica*. Przedmieście otaczało kiedyś środkowy i wyższy zamek, i broniło go od zachodu, północy i wschodu, podczas gdy miasto, od południa zbudowane, szańcami swemi strzegło z téj strony zamku. Przedmieście zajmowało dawniéj przestrzeń późniejszego średniego zamku; przeniesiono je dopiéro wówczas daléj ku północy, gdy na tém miejscu zbudowano zamek wielkiego mistrza. Po wojnie Krzyżaków z Polską i oblężeniu Malborga, wielki mistrz Henryk von Plauen rozszerzył przedmieście ku północy i obwarował je silnemi okopami od wschodu i zachodu. W około przedmieścia ciągnął się zewnątrz mur obronny, obwiedziony z wewnątrz drewnianym gankiem dla obrońców. Ze wszystkich stron sterczało wiele wież obronnych. Nadto dla obrony zachodniego muru od strony Nogatu, w wielu miejscach urządzone było palowanie. W téj stronie *przekop młynowy* oddzielał przedmieście od średniego i wyższego zamku. Przekop ten, który czytelnik widzi około murów wodą napełniony, zaczynał się od bramy Wawrzyńca, naprzeciw północno-zachodniego rogu średniego zamku i ciągnąc się na zachód i północ, wpadał pod wieżą, (któréj tu dajemy rysunek) do Nogatu. Wschodnio-północną część przedmieścia otaczał *przekop miejski*. Po oblężeniu w roku 1410 Malborga przez Jagiełłę, za przekopem tym usypano jeszcze silny wał zewnętrzny i wystawiono półokrągłe wieżyce, opatrzone działami. Wał ten ciągnął się przez całą długość zachodniéj strony zamku średniego w około przedmieścia. W roku 1417 ten wał zewnętrzny otoczono jeszcze jednym szérokim okopem, nazwanym *karpiową sadzawką mistrza*, którą po drugiéj stronie wieży połączono za pomocą szluzy z Nogatem.

Tak wielkie i liczne szańce i przekopy zewnętrzne, równie jak obronne mury i fortyfikacye wewnętrzne,

STRAŻNICA ZAMKU MALBORGSKIEGO.

o których mówiliśmy poprzednio przy opisie samego zamku malborgskiego, za czasów krzyżackich podnosiły stolicę zakonu do znaczenia piérwszéj twierdzy w Europie.

Z pomiędzy wieżyc sterczących wzdłuż murów przedmieścia, na szczególniejszą wzmiankę zasługuje przedstawiona na naszéj rycinie. *Strażnica* ta, nazywana *wieżą okrągłą* od swego kształtu, a późniéj u ludu przezwana *wieżą maślankową*, wybudowaną została 1412 roku przez wielkiego mistrza Henryka von Plauen, nad Nogatem, a to dla obrony zewnętrznego północnego narożnika przedmieścia. Na granitowym fundamencie wznoszą się jéj mury na 90 stóp wysoko; średnica wieży wynosi 30 stóp, z których 10 wypada na grubość. Mury są z cegły pięknie mozaikowanéj. Silnie budowane, opierają się dotąd wzburzonym nurtom Nogatu i bryłom lodu kruszącym się na wiosnę o ich podstawę, lubo nie chroni ich z wierzchu żadne przykrycie. Nad murem przedmiejskim, 20 stóp wysokim, były drzwiczki prowadzące do środka strażnicy. W części wyższéj stały działa i machiny obronne; dół zaś miał służyć za więzienie.

Takie są historyczne wiadomości o téj strażnicy. Lud zaś o początku jéj inaczéj rozpowiada i różne daje powody przezwania jéj *maślankową*. Jakkolwiek nie mają te podania żadnéj podstawy naukowéj, wszelako są dowodem, jak zbytki i nadużycia krzyżaków tradycyjnie przechowały się w ustach ludu, którego przodkowie tyle od nich doznali uciemiężeń. I tak np. okoliczni mieszkańcy opowiadają, że któryś z mistrzów, karząc jakieś nieposłuszeństwo włościan poblizkich, kazał im drogę od wsi *Lichtennau* o milę od miasta aż do zamku malborgskiego wyłożyć krzyżackiemi groszami wzdłuż jeden za drugim, i cały rząd pieniędzy oddać do kassy zakonu, który za to wystawił wieżę. Inni znów mówią, że skazał ich za jakieś przekroczenie na wybudowanie téj strażnicy i polecił całą oblepić masłem; drudzy zaś dodają, że do budowy dostarczyć musieli tyle maślanki, ile potrzeba było do zaprawy wszystkiego wapna.

Z wieżycy śliczny widok na Nogat i dalekie płaszczyzny. Obronne mury przedmieścia po dziś dzień jeszcze sterczą, obrosłe mchem i krzakami, zamek tylko nowo odbudowany przypomina dawne życie grodu, dawną przeszłość, wielką a bez chwały, dawną, sromotną, choć groźną potęgę, wspomnienia bez żalu za minioném życiem zakonu.

Pozostaje nam jeszcze dać czytelnikom wewnętrzny opis samego zamku, wspaniałych jego komnat, kaplicy, arcydzieł sztuki i pamiątek przeszłości, który do dalszego zostawiamy czasu.

OPINIA.

„Czy sankcya opinii potrzebna jest człowiekowi, i dlaczego mu jest potrzebna? Czém jest człowiek pod klątwą opinii względem żyjącéj społeczności? czém względem samego siebie? W jakim wypadku nakoniec wolno mu się z pod tego sądu uchylić?“ Przystępując do rozwiązania tych zapytań, uprzedzić winniśmy, że pod napisem: *Człowiek*, stawiamy mężczyznę i kobietę, na zasadzie wspólności praw moralnych i wpływów moralnych na społeczność; bo prawa te porównane zostały nietylko w życiu prywatném, ale nadto w życiu publiczném, przez *nauczycielstwo* i *piśmiennictwo*.

Każda społeczność świadoma potrzeb swoich, instynktem zachowawczym kierowana, tworzy sobie pewne moralne prawa (po za obrębem kodeksu karnego), których złamanie karze klątwą sądu powszechnego, a przestępcę stawia pod pręgierz opinii. Im sąd ogółu światlejszy, tém obowiązki jaśniéj są oznaczo-

ne, tém mniéj wątpliwości w rozeznaniu prawdy od fałszu, cnoty od występku. Im mniéj sumienie powszechne wykształcone, tém większy zamęt w wyobrażeniach, tém trudniéj o zasadę moralnego prawa. O ile niegdyś niedostatek odwagi cywilnéj, na silném przekonaniu opartéj, szkodził naukom, rozwojowi wiedzy ludzkiéj, kiedy za pojawieniem się nowéj myśli, nowego wynalazku, występowano zawsze z powagą starych błędów tradycyonalnego autoramentu, przeciw najoczywistszéj prawdzie, kiedy nie śmiano powstać przeciw fałszywéj zasadzie, dlatego że stara, a tłum zawsze był gotów ukamienować proroka nowéj idei; o tyle tenże sam niedostatek odwagi cywilnéj szkodliwie wpływa na kształcenie się u nas opinii.

Przywykliśmy chwalić wszystko i wszędzie, posiłkując się w téj mierze źle zrozumianym obowiązkiem pobłażania, i równie źle zrozumianą sentencyą: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni;“ wyzuwamy się z najpiękniejszéj attrybucyi człowieka, któremu Bóg dał rozum na to właśnie, aby rozumiał i sądził, nietylko siebie, ale i społeczność wśród któréj żyje. Sąd bowiem wyrabia się przez porównanie ludzi i zdarzeń; tak w moralném jako i fizyczném znaczeniu, aby poznać co piękne i dobre, musimy wiedzieć co złe i szpetne. Rozpoznawać i sądzić jest przeto powinnością każdéj myślącéj i rozumnéj istoty, jak śmiało wypowiedzieć sąd bezstronny jest prawem i obowiązkiem sumienia, o ile ten heroiczny (w naszych czasach) akt odwagi cywilnéj wywrzeć może wpływ dobry na poprawę i oświecenie błądzących. Gdyby się każdy poczuwał do tego obowiązku i wypełniał go w miarę możności i powagi osobistéj, w interesie dobra i moralności społecznéj, nie wątpimy iż wygodna i leniwa tolerancya nasza, przejrzawszy się w zwierciadle prawdy, przyznaćby się musiała do wcale niezaszczytnego pochlebstwa i zamieniłaby swoje szkodliwe miłosierdzie na świętą sprawiedliwość, któréj wielce łakniemy. Bez tego poczucia sprawiedliwości, wyobrażenia i sądy nasze pozostać muszą w jakimś chaotycznym bezładzie, w jakiéjś niepewności pomiędzy złem a dobrem, prawdą a fałszem, pomiędzy obowiązkiem sumienia, a szukaniem osobistych korzyści lub dogodności.

Doświadczenie uczy nas wprawdzie, że sądy ludzkie bywają omylne, że pojedyncze wypadki i sprawy często potępiane i oceniane bywają z przesadą, tam zwłaszcza, gdzie namiętność lub interes osobisty zdrowemu rozsądkowi zawadza; bo namiętność patrząc nie widzi, słuchając nie słyszy, i zastanawiać się nie jest zdolną. Wiemy że i rozum ogółu miewa swoje wybryki, że niezawsze bywa trzeźwym i poważnym, że dla fraszek i błyskotek zapomina czasem o chlebie powszednim duszy i ciała, że skorszym bywa do uwielbienia możności i próżności, niż do ocenienia rzeczywistéj zasługi, że skłonniejszy do pochwał, bo te do niczego nie obowiązują, niż do nagany, która i odwagi cywilnéj wymaga, i do przykładu obowiązuje, słowem, że owcza natura spędza czasem rozum ogółu na puste bezdroża: ale głos ludu jest zawsze głosem Bożym, kiedy rozsądza wieczną sprawę ludzkosci i potępia to, co ogólnemu dobru szkodliwe, a godności człowieka ubliżające. Szkodliwém zaś dobru ogólnemu jest to wszystko, cokolwiek psuje, gorszy i rozprzęga porządek moralny, co pośrednio lub bezpośrednio obałamuca zdrowy rozsądek, co odwodzi od wypełniania obowiązków, co krzywdzi człowieka lub społeczność, co prowadzi drogami grzechów śmiertelnych do zatracenia przyszłości bądź indywidualnéj, bądź społecznéj.

Chociaż dotąd jeszcze „miéć opinią, nie miéć opinii,“ rozmaicie się tłumaczy, i nie wszystkim się prawda jedną miarą mierzy, chociaż się zdarza, że to co jednego okrywa hańbą, z tego się inny bezkarnie przechwala, nad czém jeden płacze, z tego drugi się śmieje, jakkolwiekbądź ta rzecz, którą się z takim trudem nabywa, a tak lekko traci, dotąd ściśle nie określona, *opinia* istnieje, panuje wszechwładnie i niewidomie rządzi społecznością, nikt się z pod jéj prawa wyłamać nie może, każdemu ona potrzebna, i temu co rozkazuje, i temu co służy, a najpotrzebniejsza temu, który w jakikolwiek sposób naucza. A ponieważ wszyscy się pod pewnym względem czegoś jedni od drugich uczymy, wszyscy związani jesteśmy prawem solidarności, wszyscy przeto potrzebujemy sympatyi i szacunku ludzkiego.

Samo czyste sumienie, chociaż jest skarbem nieocenionym, wystarczyć mogło anachoretom, ale nam, w stosunkach społeczeńskich żyjącym, potrzebne, oprócz świadectwa sumienia, świadectwo sądu publicznego, któremu z osobistych słabostek i namiętnostek chętnie ofiarę uczynić winniśmy, dla zachowania moralnego wpływu na społeczność, która nie patrzy w sumienie, ale w życie i w czynności zewnętrzne.

Sumienie poświęcić opinii, czyli niewypełnić obowiązku, dla uniknienia nieszłusznéj nagany, byłoby występkiem, i na tak ciężką próbę rzadko człowiek narażony bywa; lecz oprócz sumienia wszystkie względy osobistych dogodności i korzyści ustąpić jéj powinny.

Kto ma czyste sumienie i czystą przeszłość, ten ma władzę ducha nad ludźmi, ten powagą życia, skuteczniéj niż słowem, działać może na umysły i serca, łączyć je, podnosić, uzacniać i krzepić.

Często zewnętrzne, pomocnicze w życiu okoliczności: majątek, położenie towarzyskie i tym podobne ślepego losu przywileje, stawiają człowieka w pewnéj niezależności, dają mu materyalną przewagę nad innymi, uwalniają od wielu uciążliwych obowiązków, chronią od wielu upokorzeń: od jednego tylko sądu opinii, jak od sądu Bożego, nie uchronią, a jeżeli mu ona sankcyi swojéj odmówi, jeżeli nań rzuci klątwę, jakiż go trybunał od wyroku téj najwyższéj instancyi uwolnić potrafi? Nie darmo powiedziano: „Biada gorszącym! a ktoby zgorszył jednego z tych małych, dalekoby mu lepiéj było, aby z kamieniem młyńskim u szyi wrzucon był w głębokości morza.“ Jest w tych słowach pisma wielka prawda i wielka nauka społeczna, o któréj zapominać się nie godzi, ani ją sobie lekceważyć bezmyślnie, jeżeli chcemy pozostać za życia i po śmierci żywemi członkami téj społeczności, która mimo nas sądzić nas będzie, bo powinna.

Sankcya opinii potrzebna jest każdemu dlatego, aby drugim był pożyteczny, a sam sobie znośny; człowiek bez czci u swoich, jest im zakałą i zgorszeniem, i jak ów *biesiadnik*, co *nie mając sukni godowéj*, w brudnéj i podartéj przyszedł odzieży, ze społeczności wyrzuconym być musi. Jeżeli są występki których prawo nie ściga i nie karze, które przywykliśmy na nieszczęście tłumaczyć tém, że się uogólniają, że chociaż ten lub ów to samo robi, jest przecież w poszanowaniu, (u podobnych sobie) nazywany poczciwym człowiekiem i t. d. — czyż dlatego że wielu grzeszy, wina i odpowiedzialność ich się zmniejsza? czy wzgląd pozycyi socyalnéj i majątku usprawiedliwi to, czego sąd sumienia usprawiedliwić nie może?... Dla zreformowania obyczajów i narowów naszych, życzylibyśmy trochę mniéj tolerancyi, mniéj optymizmu, a trochę więcéj zdrowego sądu i świętéj sprawiedliwości.

Opinia dzieli się na sąd głupców, który łatwo zdobyć lub podejść można, i na sąd ludzi rozumnych i uczciwych, który jest właściwie tém, co zowiemy *vox populi*, *vox Dei*.

Według sądu piérwszych wszystko się tłumaczy, albo wszystko się potępia, stosownie do osób i okoliczności, bez względu na sprawiedliwość: jednego uniewinnia pozycya, drugiego pieniądze, trzeciego namiętności, złe towarzystwo i t. p., słowem że niéma złego, niéma występku, niéma podłości, któréjby się ufarbować i uzacnić nie dało. Sąd osobisty, sąd stronny, wszystko na korzyść swoję wytłumaczyć i upozorować może, ale tylko w sobie i dla siebie; można własny rozum i sumienie uśpić, ale sądu uczciwych ludzi przekupić niepodobna, ani przekonać go, że złe jest dobrem, a fałsz prawdą.

Niegdyś wielkie zbrodnie, wiodły do wielkiéj pokuty, bywały dźwignią i pobudką do cnót i poświęceń nadludzkich; rehabilitacya zdobywała się mocą żelaznéj woli i niczém niezachwianego wytrwania, zdobywała się nie faryzejską pokorą słów i znaków zewnętrznych, ale tém wewnętrzném poczuciem winy, tém rozpatrzeniem się w samym sobie, tą serdeczną że tak powiemy skruchą, która daje siłę pokonania namiętności i winowajcę przed sądem Boga i ludzi miłosierdziem okrywa. Ale rehabilitacya, chociaż zawsze możliwa, w naszym XIX wieku niestety! bardzo trudna; gdyż chorobą naszéj epoki nie jest gorączka namiętności, ale chroniczne nałogi, zwolna, biegiem lat nabywane, w krew i w ciało zamieniane, z których się najtrudniéj wyleczyć, bo woli wyleczenia w znałogowanych ludziach najzupełniéj brakuje, bo niéma w nich tego bolesnego poczucia winy, tego wstydu, téj godności prawdziwéj, co się wzgardy więcéj lęka niż śmierci, a wszelkiego brudu więcéj niż piekła. Wmawiamy w siebie, że choroba nasza jest stanem normalnym, kiedy ten i ów *porządny* człowiek, równie chory i niedołężny, ma się za zdrowego i śmiałym choć nierównym krokiem wśród gwiżdżącego tłumu przechodzi. Ten brak dobréj woli, ten brak poczucia osobistéj godności sprawia to, że albo się uciekamy do półśrodków oszukiwania opinii pozorami, albo nią lekkomyślnie pomiatamy, nie pomnąc że tém sobie największą wyrządzamy krzywdę.

Któż się dziś nie odwołuje do sumienia, jeżeli mu zapoznanie obowiązku zarzucają? któż się przyzna, nawet sam przed sobą, że go sumienie potępia? że go oskarża o grzéch przeciw społeczności? Bo występek nie ogranicza się krzywdą pojedynczą, ale pośrednio lub bezpośrednio zawsze szkodzi sprawie ogółu, bądź przez błędy, bądź przez zgorszenia. Sumienie u takich ludzi jest bardzo przestroną, elastyczną sakwą, która wszystko pomieścić gotowa, co osobistym korzyściom dogadza i sztuczny spokój zapewnia. Zaiste, nic wygodniejszego nad takie sumienie dla głupoty i niedołęztwa, ale również nic szkodliwszego dla ogółu.

Sprawa sumienia rozstrzyga się pomiędzy Bogiem a człowiekiem, ale sprawa stosunków ludzkich, oprócz sądu Bożego, ma jeszcze i sąd społeczności nad sobą. Co myślisz, co czujesz, to twoje i Boże; co czynisz, co zaniedbujesz, czego nadużywasz, lub co na drodze swojéj opuszczasz, to wszystko przed kratki sądu publicznego zanosisz.

Sądźmy, gańmy się gdy potrzeba, poprawiajmy siebie i drugich, nie gaśmy pochodni rozumu przyświecającéj sumieniu i nie plwajmy na opinią, na głos ludu, w którym się głos Boży odzywa, gdy sądzi i wyrokuje w interesie dobra powszechnego i moralności społecznéj. Głos ten, mający powagę moralnego prawa, którego kary równie są straszne, jak nagrody wysokie, jest tym najwyższym na ziemi trybunałem, przed którym mimowolnie w każdéj chwili stajemy, i który nas sądzi zaocznie, bez appellacyi i bez rekursu. Pilnujmyż się, aby wyrok jego przeciwko nam nie zapadł.

SŁÓW KILKA

O KONKURSACH NA KOMEDYE.

Mamy nowy konkurs ogłoszony na komedyą, a przeznaczenie w przedwstępnych warunkach zysku ze sprzedaży dzieł premiowanych na nowy konkurs, zdaje nam się zapowiadać ustalenie się tego rodzaju zachęty literackiéj. Oddawna już uwaga estetyków naszych zwróconą była na literaturę dramatyczną, która dotychczas słabe bardzo dawała rezultaty, w porównaniu do innych gałęzi literatury. Kilka na to składało się powodów. Jednym z najważniejszych był i jest jeszcze odmienny stan warunków, w jakich dramatopisarze nasi znajdują się w porównaniu do swych kollegów zagranicą. Ale nie tu czas i miejsce rozszerzać się nad tém. To jednak pewna, że korzyść materyalna z pisania dzieł scenicznych była dotychczas prawie żadną; autorowie musieli wyłącznie prawie oglądać się na korzyść literacką, a dramata i komedye z samego zakresu swego są już mniéj pokupnemi od innych książek. Właściwém dla nich polem jest scena: dramat lub komedya nieprzedstawiona, jest dziełem nawpół tylko uwydatnioném; nie można nawet właściwego i sumiennego sądu o takiém dziele wydać, dopóki nie zostanie ono wprowadzone w życie na deskach teatralnych, co często zmienia zupełnie i punkt zapatrywania się, i warunki krytyczne. Nic więc dziwnego, że publiczność czytająca czeka z kupowaniem dzieła dramatycznego na przedstawienie, co powoduje mniejszy odbyt dzieł teatralnych w druku.

Konkursa dramatyczne *u nas* zaradzają choć w części tym niedogodnościom, i skutkiem tego są one *tutaj* potrzebniejsze niż gdziekolwiekbądź. Ale konkursa dramatyczne nie są wcale nowością i w reszcie Europy. W Anglii, we Francyi, w Niemczech, Węgrzech, Czechach, w pomniejszych nawet krajach słowiańskich, ogłaszane bywają nagrody za najlepsze dzieła dramatyczne. Mylném jest mniemanie, jakoby konkursa możliwemi tylko były na dzieła naukowe, rzeczy pracy i studyów. W Paryżu, gdzie nie braknie zachęt wszelkiego rodzaju dla literatury, gdzie mianowicie literatura dramatyczna stosunkowo ogromne zyski materyalne przynosi, bo tam lichy nieraz wod-

wil przysparza autorowi średnio dochodu 20,000 fr., w Paryżu, istnieją dwa peryodyczne konkursa dramatyczne; a nie mówimy już o innych miastach, na przykład o Berlinie, gdzie świeżo nowy został ustanowiony. Tam zresztą każdy dyrektor teatru jest premiodawcą i konkursa pomiędzy autorami bezprzestannie się odbywają. U nas piszący, w ogóle niezamożni, nie mogą robić poświęceń z pracy i czasu swego. Nadzieja wzięcia nagrody premiowéj jest więc także bodźcem, który nie poruszy człowieka tysiącami rozporządzającego, ale który niejednemu uboższemu, a tacy są prawie wszyscy literaci, doda ochoty do współubiegania się.

Tyle co do strony materyalnéj. Zastanówmy się teraz nad moralną stroną konkursu.

Powiadają nam, że dzieła literackiéj wartości nie piszą się na nakaz, ale nikt téż tego nie żąda. Na *nakaz* piszą się tylko powieści albo artykuły do felietonów, lub na terminowe obstalunki księgarzy; doroczny zaś konkurs nie wiąże wcale autora. Jeżeli w ciągu tego czasu napisze dobre dzieło, które osądzi godném współubiegania się, to je odda na konkurs, jeżeli nie, to poczeka na drugi, Wszakże nikt go nie zmusza, nikt z nim kontraktu nie spisał. Obawa spadnięcia nic niéma dlań przestraszającego, bo wszakże nazwiska mniéj szczęśliwych współzawodników pozostają nieznane tak sędziom jak i ogółowi. I cóż mu szkodzi, że dzieło napisane przez siebie odda pod wyrok sędziów, czyliż to mu zagrodzi drogę na późniéj? Owszem, korzystném może być dla niego zdanie ludzi specyalnych, zdanie sędziów niewiążących się żadnemi stosunkami osobistemi, żadném uprzedzeniem światowém. Bezimienność zapewnia mu sprawiedliwość wyroku, a w krytykę sędziów może wierzyć, bo żadne względy na nią nie wpłynęły; taka krytyka najlepiéj może objaśnić o wartości jego pracy, o donośności jego talentu. Wszakże i najznakomitsi autorowie wydawali często swe dzieła bezimiennie, jedynie dla przekonania się o wrażeniu, jakie one sprawią na nieuprzedzonéj krytyce. Miernotom nie zagrodzi to wprawdzie drogi, bo one i bez konkursu wszędzie i zawsze się wcisną; wyjdzie to jednak tylko na stratę czasu i utrudnienie pracy sędziów, którzy tym sposobem muszą dopełnić miary poświęcenia, jakiego się w służbie publicznéj podejmują.

Konkurs nie może u nas, dla rozmaitych powodów, wyznaczać nagrody za najlepszą sztukę, która się w pewnym danym terminie, bądź w teatrze, bądź w druku ukaże. Zresztą bezimienność autorów wydaje nam się najgłówniejszym warunkiem konkursu. I sędziowie są także ludźmi, i oni będą zapewne woleli nie znać nazwisk autorów stających do konkursu, zanim stanowczo zdanie wyrzekną, bo pomimowolnie nawet wpływy uboczne mogą na sąd ich oddziałać.

Że konkursa wpływają na ożywienie literatury dramatycznéj, tego już najlepiéj skutek dowiódł. Wszakże sam rok upłyniony przysporzył nam więcéj komedyj sposobnych do grania, aniżeli dziesiątek lat zeszłych. Niewszystkie one wprawdzie pochodziły z konkursów, ale śmiało można powiedzieć, ze zajęcie się publiczności temi konkursami wpłynęło na ożywienie pracy kilku dramatopisarzy naszych. Jeden i drugi zaczął może pisać w myśli dania swéj pracy na konkurs, zaniechał potém téj myśli, ale dzieła dokończył w każdym razie, i literaturze dramatycznéj przybył nowy utwór. Byli może tacy, co po nieszczęśliwych próbach współzawodnictwa, zrobili się zapamiętałymi wrogami wszystkich konkursów i tych, którzy do nich przystępują. Ale to już zwykła kolej rzeczy ludzkich, to są słabostki natury literackiéj, od których żaden z nas nie jest wolnym. Idąc więc w ślad za nauką Chrystusową, nie rzucamy na nich kamieniem.

Gdyby nagroda pieniężna oznaczona konkursem miała koniecznie literaturę na rzemiosło przemieniać, toby już żadnéj chyba zapłaty za prace literackie brać nie należało.

Dawniéj monarchowie, książęta i panowie wielcy spłacali względem poetów, literatów, uczonych i artystów dług narodu; dziś każdy musi sobie zapracować na jakie takie utrzymanie, i być, jak powiadają Francuzi, synem dzieł własnych. Nagroda konkursowa jest zbyt szczupłą, żeby miała aż chciwość podniecać. Zaledwie o kilkaset złotych przewesi ona zwykłe honoraryum księgarskie, albo zgoła jest mu równą, a wiadomo że autor uwieńczony traci prawa druku. Rossini najpiękniejsze swoje opery pisał na obstalunek; toż samo było z komedyami Moliera, z tragedyami Rasyna, a przecież nikt im nie myślał czynić z tego zarzutu, i wcale im to nie przeszkadzało tworzyć arcydzieła, chociaż Rossiniego impressario zamykał w swojém mieszkaniu przy pisaniu Otella, a Molierowi oznaczono dwadzieścia dni czasu na napisanie komedyi dla zabawy króla.

Dowiedliśmy już, jak się zdaje, że konkurs nie jest dla nikogo przymusem; daje rok czasu, i potém rok znowu, i daléj rok jeszcze. Napiszesz i oddasz co na konkurs w przeciągu tego czasu, tém lepiéj, nie napiszesz, to także nikt ci tego za złe nie weźmie. Wszak zawsze piszący musi coś pisać, a że wyda to na jaw tym lub owym sposobem, w téj lub owéj formie, mniejsza o to. Konkursa nie stworzą talentów tam gdzie ich niéma, ale nie przeszkodzą wcale istniejącym talentom tworzyć dzieła zasługujące na uznanie, owszem, dodadzą im bodźca.

Niemało już pisano o najlepszéj formie, w jakiéj się konkurs ma odbywać. Redaktor nawet Kuryera, a pełnomocnik premiodawców, odwołując się do licznych krytyk działań konkursowych, które po ogłoszeniu każdego wyroku sędziów dają się słyszéć, uprasza przy ogłoszeniu tego nowego konkursu, o zakomunikowanie mu, bądź ustnie, bądź piśmiennie, bądź za pomocą druku, wszelkich zdań i opinij w téj mierze. Korzystając z téj sposobności, pragniemy tu wynurzyć nasze przekonanie o postępowaniu jakiegoby się trzymać wypadało.

Wybór sędziów jest tu najważniejszym. Wybór ten, jak słusznie zauważyła przeszłoroczna o konkursie korrespondencya w Gazecie Warszawskiéj, nie może i nie powinien od jednéj osoby zależyć. Sposób wyboru sędziów, przez wspomnionego korrespondenta podany, wydaje nam się najlepszym. Niechaj premiodawcy, po naradzie z redaktorem Kuryera, w którego ręku summa się znajduje, wybiorą jednego sędziego, w którym pokładać będą zaufanie; ten dobierze sobie towarzysza; obaj razem przybiorą dwóch jeszcze, i tym sposobem łatwo dopełni się liczba. Tak się ustanawia każde zgromadzenie, którego wybór nie zależy od ogólnego głosowania. Samo z siebie ma się rozumiéć, że sędziowie winni być powołani z pomiędzy najbardziéj tu cenionych estetyków i literatów, ludzi znanych publicznie, a więc dających już pewną porękę swojéj kompetencyi w sądzie.

Co do sposobu sądzenia utworów do konkursu przeznaczonych, byleby one wszystkie były czytane przez każdego z sędziów, a o każdym z nich stosowne sprawozdanie, wraz z sądem o wartości dzieła uczynione, nic zresztą nie mamy do nadmienienia. Sama forma w jakiéj się to czytanie ma odbywać jest rzeczą podrzędną; dobra ta, dobra i inna, to już od sędziów wyłącznie zależy. Naturalnie warunkiem jest koniecznym, żeby na premiowaną sztukę, również jak i na accessit, były wybrane komedye *dobre*, bo tu o takie tylko chodzi, a nie *najlepsze* z *miernych* albo *złych*. Co do pochwał, jeżeli jakie sztuki zasłużą na nie, to już niech tam sobie i będą chwalone, ale premiodawcy żadnych podobnego rodzaju ciężarów na sędziów nakładać nie powinni. Jeżeli konkurs nie wykaże ani jednéj sztuki zasługującéj na premium, to dany będzie tylko accessit, jak również może być dane premium bez accessitu, jeżeli taki będzie zdanie sędziów wypadek. Jeżeli żadna sztuka nie okaże się dobrą, to łatwo konkurs na przyszły rok odłożyć, czekając szczęśliwszego wypadku. Lepiéj to uczynić, aniżeli nagradzać sztuki nie zasługujące na to odznaczenie.

Bardzo dobrym jest pomysł utworzenia drugiego konkursu z kwoty jaka się zbierze ze sprzedaży dzieł drukowanych. Ale z drugiéj strony jesteśmy bezwarunkowo przeciwni ogłaszaniu drukiem dzieł premiowanych przed wystawieniem ich na scenie. Część powodów tego twierdzenia wymieniliśmy na początku. Szkodzi to teatrowi, bo odejmuje przedstawieniu piérwszą świéżość i rozciekawienie publiczności; szkodzi samemu dziełu, bo komedya pisaną jest do grania, a nie do czytania, i publiczność po przedstawieniu jéj dopiéro sąd o niéj wydać winna. Zresztą, jak dotąd, wszystkie komedye premiowane ogłaszane były w gazetach, a przerwy tym sposobem w publikacyi spowodowane, jeszcze więcéj szkodzą dziełu, aniżeli gdyby w książce od razu wydaném było. Za granicą nigdy ogłoszenie drukiem utworu dramatycznego niéma miejsca przed przedstawieniem go na scenie. I autorowie i dyrektorowie teatrów, znając swoję własną korzyść, kładą to sobie za konieczny warunek. Zresztą dzieło premiowane, zwłaszcza kiedy już nazwisko autora ogłoszoném zostaje, wzbudza mnóstwo koteryjnych zawiści i zadraśnionych miłości własnych. Często nawet odzywają się krytykujące zdania, zanim jeszcze sztuka drukowaną została, że musi być złą, bo ją ten albo ten napisał. Niechajże publiczność cała uczęszczająca do teatru, stawioną zostanie w możności kontrolowania tak sędziów jak i krytyków. Wszakżeż dom kiedy się buduje, albo posąg mający gdzie stanąć, wtedy dopiéro się odsłaniają, kiedy wszystko znajduje się na właściwém miejscu, kiedy niczego nie brakuje. Sztuka zaś nie przedstawiona w teatrze, to posąg nie umieszczony jeszcze na swojéj podstawie. Sędziowie, jako ludzie specyalni, mogą wyrzec jak on tam będzie wyglądał, ale ogół tego nie pozna. Nie przeszkodzi to wcale ustanowieniu następnego konkursu, bo sztuki po przedstawieniu tak samo się przedadzą, a teatr rozważy własną swoję korzyść i zechce uprzedzić ogłoszenie drukiem dzieła, co mu większy zysk materyalny zapewni.

Niewłaściwym nam się także wydaje warunek, który daje piérwszeństwo teatrom amatorskim do przedstawienia sztuk premiowanych. Nie uwłaczamy wcale talentom szanownych amatorów, ale zdaje nam się że sztuka dopełniająca wymagań wyższéj komedyi, (a taką podług nas winna być ta która otrzyma nagrodę) nie kwalifikuje się wcale do teatru amatorskiego. W takiéj sztuce autor, który chce swojemu dziełu zapewnić powodzenie, połowę zasługi musi koniecznie zostawić artystom, którzy dopełnią sztukę, odcieniują charaktery, uwydatnią rysy niewyraźne, zatrą to co może szorstkiém się wydawać, gdyż na scenie dopiéro sztuka upraktycznia się naprawdę. Wiedzą o tém doświadczeni autorowie dramatyczni, bo już niejednokrotnie mieli sposobność przekonać się, że sztuka traci, jeżeli pozostawia zbyt mało artystom do dopełniénia, do gry jedném słowem. Wszystkie delikatne odcienia, które w druku nie mogły się pomieścić, w grze dobréj wyjdą i zajaśnieją. Amatorowie zaś, choćby nawet najzdolniejsi, wypowiedzą swoje role gorzéj albo lepiéj, ale *wypowiedzą* tylko, nie wspomogą w niczém autora, owszem ujmą mu często z własnych jego zasług. Nawet obraz winien być w ramach stosownych, cóż dopiéro sztuka na scenie. Dla amatorskiego teatru takie piszą się utwory, w których sama komedya gra za aktorów, w których wszystko od razu bije w oczy, a nic nie potrzeba wydobywać grą wyrozumowaną. Niechże będzie konkurs dla amatorskiego teatru, to stosowne na nim sztuki się pojawią; skoro zaś idzie o wspomożenie sceny, to trzebać go zostawić jego przeznaczeniu.

Jedną jeszcze i ostatnią wzmianką zakończymy te i tak może przydługie już uwagi. Niechaj sędziowie, wychodząc z zasad powyżéj wyłuszczonych, baczą przedewszystkiém, aby dać nagrodę sztuce najprzydatniejszéj dla sceny. A nie rozumiemy przez to takiéj, która się tu i owdzie najlepiéj podoba, z powodu chwilowego usposobienia publiczności i pobudzanych może sympatyj; lecz niech to będzie sztuka pisana wedle odwiecznego prawidła sceny, którém jest odwzorowanie życia w najwydatniejszych jego przejawach, niech sama żyje i wszystko w niéj żyje, a i na scenie się używotni.

KOMMUNIKACYE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

Szeroki wylew Wisły, wyrządzający tu i owdzie na pobrzeżach dotkliwe szkody, oczyściwszy zwierciadło téj matki rzek naszych, dozwolił już z piérwszemi dniami kwietnia na otwarcie tegorocznéj żeglugi. Paropływy, dotychczas bezczynnie stojące w przystaniach, ukazały się już pod Warszawą, a regularne ich kursowanie do Nieszawy i napowrót, zapowiedzianém zostało.

W ślad za niemi, korzystając z odpowiedniéj wody, ciągną długim sznurem berlinki, a niezadługo téż rozlegnie się i piosenka flisaka. Dziwna rzecz, iż te gdańskie jastrzębie i krakowskie galary tak jakoś przyrosły do matczynych wód Wisły, że i para nie mogła ich wyrugować zupełnie. Prawda, że nie jest

(*Obacz Dodatek*).

HISTORYA JEDYNACZKI W 22 OBRAZKACH.

Ułożył i rysował F. Kostrzewski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.

(Dokończenie.)

Nr. 18.
Pani bankierowa nie przyjmuje męża, z powodu że cierpi na *Palpitacyą*.

Nr. 19.
Częste powtarzanie się téj *choroby*, wywołuje scenę małżeńską.

Nr. 20.
Pani Bibianna odjeżdża męża, udając się po rozwód do Rzymu.

Nr. 21.
Spotkawszy w tém mieście dawnego *nauczyciela* swego, żałującego za grzechy, postanawia wyrzec się marności tego świata.

Zadanie konikowe do nagrody.

Piér-		cze-		wsza		nia.	
	do		piér-		wsze		ka
ną		wal-		kto		za-	
	cia		ten		wy-		zmu-
mil-		gry-		wszy,		Dru-	
	zga-		wa.		A		Wszyst-
by-		dnie-		wa.		nia,	
	trze-		do		ga		sza

Konik przebiega szachownicę jak zwyczajnie; dla złożenia jednak zawartéj w niéj szarady, bierze się tylko co drugi skok, czém rozwiązanie o wiele się utrudnia. Sama zato szarada bardzo jest łatwa. Kto piérwszy z Warszawy i piérwszy z prowincyi nadeszle dobre rozwiązanie tego zadania, otrzyma jako nagrodę książek nakładowych wydawcy Tygodnika w wartości rsr. pięć. Nadmienia się, że znaczenie szarady i sam wiérszyk powinny być bez pomyłek wypisane, a przesyłka frankowaną.

Nr. 22.
Po powrocie do Warszawy, idzie z trzeciego dyżuru na siódmą sessyą.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 29.

Miłość na czekanie długie narzeka.

REBUS.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 22.

Białe.	*Czarne.*
1) G 2 — F 1	1) F 7 — H 6
2) D 3 — C 5 †	2) D 6 — C 5 bierze
3) F 1 — A 6 bierze † i mat.	

UWAGA. Gdyby w posunięciu piérwszém czarne poszły pionem D6—D 5, wtedy królowa, idąc z F 1—F 5, spędza króla na D 6, a następnie daje mu mata stając na D 7.

(Dodatek.)

to wyłączną winą pary, ale raczéj niestałości saméjże Wisły, udaremniającéj wszelkie usiłowania żeglugi. Nizki stan wody w ciągu miesięcy letnich warunkuje się nietylko suchością roku, ale ma téż za przyczynę niestałość naturalnego koryta Wisły i brak wszelkiéj regulacyi sztucznéj.

W ogóle kraj nasz, tak szczodrze uposażony od przyrody w najnaturalniejsze kommunikacyjne drogi, jakiemi są rzeki spławne, mało z nich korzysta, z powodu zaniedbanego stanu wybrzeży i koryta spławów. Cała długość linij spławnych dla statków i tratew w królestwie wynosi 2938 wiorst, a zatém średnio na kwadratową milę rozległości kraju przypada 1 wiorsta i 154 sażeni. Mało jest krajów któreby się tak wysokim stosunkiem poszczycić mogły; lecz jeżeli weźmiemy na uwagę, że dwie trzecie części tych kommunikacyj, przez trzy kwartały w roku albo i więcéj są nieczynne, ważność téj statystycznéj liczby o wiele zmaleje.

Gdzie leży źródło tego smutnego wypadku, nietrudno wskazać, z trzynastu bowiem rzek uznanych za spławne, a przerzynających lub obmywających prowincye królestwa, tylko jedna Wisła doznaje troskliwszéj opieki ręki ludzkiéj. Mamy nadzieję iż wyznaczony w r. 1859 komitet do zbadania stanu téj rzeki, zajmujący się obecnie pomiarami i obserwacyami hydrotechnicznemi, poda zaradcze środki ku uregulowaniu wybrzeży i koryta téj głównéj arteryi spławów; dotychczasowe bowiem wały ochronne w (nizinach kozienickiéj, nowomiejskiéj, koprzywnickiéj, moczydłowskiéj, opolskiéj i t. p.) mają raczéj na celu zabezpieczenie nadbrzeżnych gruntów, a nie pogłębienie rzeki. Dlatego téż żegluga prawdziwie bezpieczną dla większych statków jest tylko poniżéj Warszawy ku ujściu. Ta nizkość wody i obawa zatrzymania się na mieliźnie, pomimo wyłączności jaką posiada spółka żeglugi parowéj, jest przyczyną że skutek nie odpowiada usiłowaniom, popierającym myśl z takiém zaparciem się szlachetném przez głównego jéj opiekuna w czyn zamienioną.

Bądź co bądź, tegorocznéj otwierającéj się żegludze życzymy z całego serca powodzenia, na całéj bowiem linii pobrzeży budzi ona wszędzie życie i ruch handlowy, mianowicie płodami surowemi, które niestety, dotychczas są jedynemi przedmiotami, jakie Polska na targi obcych narodów dostarcza. A handel ten, pod wpływem tworzących się instytucyj kredytowo-kommissowych, emancypuje się coraz widoczniéj z pod nacisku nieprzyjaznych mu żywiołów. W żadnéj téż gałęzi handlu nie należy życzyć sobie goręcéj reformy, jak w handlu płodami surowemi, mianowicie służyć mającemi na pokarm dla ludzi.

Nieuzasadnione i dziwne fluktuacye cen na prowincyonalnych targach zbożowych królestwa, są dowodem niezbitym, iż koalicya kilku miejscowych spekulantów dowolnie rozrządza wartością pracy rolnika. Toż samo, lubo na większą skalę, działo się i w handlu zbożowym zagranicznym. Znana maksyma ekonomiczna: *kup tanio*, *sprzedaj drogo*, zbyt bezwzględnie stosowaną była do naszych obywateli, aby ci nie mieli pragnąć jak najszybszego wydobycia się z tak nienaturalnych stosunków. Zdaje się że forma w jaką się ukonstytuowała spółka zacnych rolników płockich, o zasadach któréj Tygodnik poprzednio już wiadomość swoim czytelnikom udzielił, jest najodpowiedniejszą dzisiejszym potrzebom rolniczego kredytu i handlu.

Nie będziemy się tu wdawać w liczebne wyszczególnianie obrotów, jakie uskutecznił dotąd Dom zleceń rolników płockich; w swoim czasie dopełniły tego pisma codzienne, a widać że cyfry te musiały trafić do przekonania obywateli innych okolic kraju, kiedy sąsiednie powiaty, jak: łomżyński, augustowski, zgierski, gostyński, bialski, wyraziły lub wyrażają powszechne życzenie połączenia się z tym domem. Wiadomo iż w łomżyńskim już to nastąpiło; w bialskim zaś agentura z pewnością w kwietniu r. b. założoną zostanie.

Przy debatach obywatelstwa naszego, zwykle mających miejsce na zebraniach okręgowych członków Towarzystwa rolniczego, widzimy niejednokrotnie dwa kierunki zdań ścierających się z sobą w tym przedmiocie. Jedni pragną centralizacyi i łączenia się z Domem rolników płockich; drudzy, bacząc na miejscowe interesa, na wyłączne potrzeby handlowe, na niedogodność centralizacyi, na wpływ pobudzający inicyatywy bezpośredniéj, oświadczają się na korzyść udzielnych domów kommissowo-handlowych, zastosowanych do potrzeb okolicy.

Jako wypływ tego słusznego, według nas, kierunku, uważać należy Dom zleceń rolników kaliskich, zawiązany staraniem pp. Romana Radolińskiego, Józefa Jabłkowskiego i Antoniego Skupińskiego, (o zasadach którego wkrótce zapewne czytelnikom Tygodnika obszerniejszą udzielimy wiadomość), tudzież blizki urzeczywistnienia projekt rolników radomskich. Mówimy *słusznego*, nie dlatego, abyśmy uwłaczać chcieli zamiarowi rolników łomżyńskich i innych, pragnących połączenia się z domem płockim; położenie ich majątków, warunki okolicy, jedność interesów, kommunikacyj, głównych targów, są bez wątpienia przyczynami skłaniającemi ich do tego. I my także nie jesteśmy za rozdrabnianiem się, ale nie radzibyśmy widzieć zbytecznéj centralizacyi, z przyczyn które obszerniéj w inném wypowiedzieliśmy już miejscu.

Zamiary już to utworzenia nowych domów, już przystąpienia do ukonstytuowanych, rozstrzygnąćby się powinny przed wiosną, czas bowiem obecny najważniejszym jest pod względem handlu transportowego. Dlatego téż Dom zleceń rolników płockich powołuje ziemian, pragnących korzystać z jego pośrednictwa, aby do magazynów i miejsc oznaczonych dowozili swe zapasy zboża i innych kommissowych produktów.

Niemałą ku temu przeszkodą jest zły stan dróg naszych, do którego, niestety, takeśmy już przywykli, że przestał nas nawet zastanawiać. Sprawa jednakże dróg bocznych, mianowicie tak zwanych traktów drugiego rzędu, silnie została poruszoną w łonie obywatelstwa, a dzieki zawiązującym się coraz liczniéj komitetom szarwarkowym, drogi te mają przed sobą szczęśliwszą i pomyślniejszą przyszłość.

Pomówimy o tym przedmiocie obszerniéj w następném sprawozdaniu; obecnie zaś wracamy jeszcze na pole przemysłowo-handlowe. Idea spółek, krzewiąca się z powodzeniem między rolnikami, szerzyć się zdaje i w świecie przemysłowym. W tych czasach uwaga kapitalistów zwróconą została na spółkę, zawiązaną w celu założenia fabryki sztucznych nawozów. Rzeczywiście, bacząc na wznoszący się stan naszego rolnictwa, myśl założenia fabryki pudretów przynieść może korzyść tak konsumentom jak i producentom, tém więcéj, gdy i wyrób preparatów znajdujących zastosowanie w przemyśle silnie podeprze interesa téj fabryki. Sądzim także, iż konsumcya kraju w zupełności zużyje produkcyą zakładu, i że ani mączka, ani węgiel kościany nie będą wyprowadzane za granicę, jak o tém niektórzy już myśleli.

Strata jaką ponosi kraj przez wywóz kości i produktów z tychże jest niezmierną, i dobrze to dziś czują Niemcy, którzy pozwolili Anglikom rok rocznie wywozić za 50 milionów odpadków, po największéj części złożonych z kości. Dziś, ze wzrostem kultury, sami zmuszeni zostali zaopatrywać się w ten materyał za granicą. Korzystajmyż z téj przestrogi! Toż samo moglibyśmy powiedzieć o wywozie gałganów; lecz o tym przedmiocie może późniéj wypadnie nam osobno pomówić.

JEZIORO ŚWIERKÓW,

PODANIE LITEWSKIE,

skreślił

BOLESŁAW BRZOZA.

Umarła Litwa pogańska, umarła w całéj sile swego życia, w całym blasku piękności swojéj; podobna do młodéj dziewczyny, która nie znając jeszcze uniesień światowych, obca troskom i goryczom żywota, idzie do cichego grobowca, z nadzieją że w innéj krainie będzie weselsza, że będzie kąpać swe lica w zdroju czystéj wody, że będzie rzewną duszą modlić się do piękniejszego młodziana, aniżeli najpiękniejszy anioł ziemski. Skonała Litwa w zaraniu żywota swojego, podobna do młodéj matki, która pieszcząc u łona dziecię, wpatruje się w jego oblicze, a wpatruje się tak długo, aż się błękit jéj oka zaćmi, i już nigdy światłości ziemskiéj nie zobaczy, nie zobaczy nawet tych kolei, przez które anioł jéj przechodzić będzie.

Jak kochanek z wieńca mirtowego, który mu za całą pamiątkę po lubéj został, przypomina sobie cudną postać najdroższéj, jéj słowa wdzięczne, przymilenia pieszczotne i obietnice szczęścia ziemskiego; jak rzewne chłopię po tęskném echu pieśni, którą nad jego kolébką matka nuciła, a która nie przestała jeszcze odbrzmiewać w jego duszy; jak sierota po dźwięku głosu matki serce jéj rozumié,—tak ja po pieśniach, które brzmią jeszcze nad wodami Niemna, po warkoczach brzóz wieńczących samotne pagórki, po paśmie podań, po gwarze zabaw, zgaduję starą Litwę i czuję jakiém tętnem ona biła wtenczas, gdy w jéj świętych jeziorach urodne dziéwy kąpały białe lica, gdy w jéj cienistych gajach ogień pochłaniał ofiary całopalne i dym ich pod niebo wysyłał, gdy na jéj wyżynach wznosiły się wieże wysokie, patrzące dumnie po obszernych smugach i borach okolicznych.

Więc jeśli chcecie, mili bracia, to wam krótko opowiem jacy to byli praojcowie Litwy; więc jeśli chcecie, miłe siostry, to wam jednę pieśń o nich powtórzę.

* * *

Ongi, na Nowogródku, panował możny książę Erdźwiłł, syn Montwiłłów. Erdźwiłł był mężnym w bitwie i odważnym wśród niebezpieczeństw, jako lew młody; a że był przytém rozumny, więc w krótkim czasie potrafił i swoich wrogów pokonać, i prawa zadyktować całéj Litwie, zjednawszy sobie wprzód jéj miłość i zaufanie bez granic. Ale z małego panka stawszy się możnym dziedzicem Nowogródka, lubił często przypominać sobie chwile dawnego bytu, i dlatego nie podnosił hardo nad innych głowy i nie pysznił się bogactwem swojém, siłę tylko wywierał na wrogach ziemi, a grozę zdrajcom okazywał.

Litwa od czasu jego rządów na nowo zakwitnęła pięknością i życiem. Dawniéj dzikie góry były puste, a na nich tylko zwierz drapieżny albo jeszcze drapieżniejszy człowiek przemieszkiwał.

Więc niedziw, że gdy Erdźwiłł wzniósł piękny zamek dla siebie, opasując go murem i dźwigając cztéry potężne baszty, niby cztérech olbrzymich strażników, niedziw że gdy książę swoję siedzibę ozdobił pięknie, to ona stała się miejscem słynném i ciekawém, a ciekawém tak, iż każdy Litwin kładł sobie za warunek konieczny, przynajmniéj raz w życiu oglądać jego mury i jego wszystkie piękności, a pokłonić się potężnemu panu, który własnemi siłami i własnym rozumem potrafił te cuda prawie z niczego wyprowadzić.

Erdźwiłł rycerzom i kuningom zawsze był dostępny i nigdy od gości nie stronił, bo oprócz tego że był w swoim domu rad niezmiernie i kazał podczas uczty burtynikom wdzięczne pieśni przygrywać, ale jeszcze dawał młodszym rady i wskazywał drogi, któremi można dojść sławy i majątku, od starszych zaś i doświadczeńszych przyjmował wdzięczném sercem przestrogi, i nigdy się za nie nie obrażał.

Co się zaś tyczy młodych, dzielnych wojowników, których licznym pocztem dziedzic nowogrodzki lubił być zawsze otoczon, dla tych, oprócz mądrości księcia, oprócz szczérej gościnności jego synów, dla tych dwór Erdźwiłła był milszym nad inne dwory, gdyż książę miał córkę urodną, z błękitnemi jak niebo wiośniane oczyma.

* * *

Pan Nowogródka miał pięciu synów i jednę córkę, najmilszą osłodę, największą chlubę swego życia. Książę nazywał ją imieniem Egli. W mowie Litwinów Egle znaczy świerk, ale jest rodzaju żeńskiego. Otóż czy dlatego że Egle była tęskna obliczem jak świerk litewski, czy dlatego że jéj postać tak śmiało strzelała nad poziom jak świerk wspaniały, niewiem, ale księżniczkę nowogrodzką i swoi i nieswoi porównywali do świerku wyniosłego.

Egle nietylko była nad podziw piękną, ale była ona jeszcze tak rozumną, że w całéj litewskiéj ziemi podobnéj do niéj dziewicy niktby nie znalazł; była ona nawet tak mężną, że niejeden rycerz w pieszczotach macierzyńskich chowany, nie dotrzymałby jéj placu, gdyby przed nim w zbroi męzkiéj stanęła. Nieraz nawet z braćmi przy boku ojca chciała iść na wojnę, i tylko prośby poddanych i życzenie ojca zniewalały ją do pozostania w domu.

Czy dlatego że Erdźwiłł miał tylko jednę córkę, czy że mu ona przypominała jakieś milsze czasy, jakieś chwile życia piękniejsze, ale książę Nowogródka patrzył w Egli oblicze jak w jutrzenkę poranną, ale promień jéj oczu był w stanie rozpędzić mu najcięż-

sze zadumy z czoła, największe gorycze z serca; a Egle, znając swoję władzę nad rodzicem, umiała z niéj korzystać w porę. Więc jéj uśmiech i słowo pieszczotne niejednego jeńca od śmierci wybawiły, niejednéj matce, łamiącéj ręce z rozpaczy, wróciły radość i spokój.

Nieraz kiedy książę, w towarzystwie synów, wychodził na krużganek, dla przypatrzenia się ceremonii spalenia na stosie jeńców wojennych, wychodziła Egle z głębi zamku i padała na kolana przed ojcem, prosząc go rzewnie o darowanie życia nieszczęśliwym; a prosiła dotąd, aż gniewny pan dał się przebłagać, aż rozkazał rozpuścić więzy osądzonym na śmierć. Chociaż za taką powolność dla córki krzywém trochę okiem patrzyli na książęcia synowie i poddani, przecież żaden, nawet wódz najdzielniejszy, nie śmiał sprzeciwić się jego rozkazom, żaden z nich nie śmiał złorzeczyć Egli, i tak sędziowie jako i winowajcy, niewolnicy i lud litewski, młodą księżniczkę nowogrodzką nazywali aniołem opiekuńczym, zesłanym z nieba na rozweselenie pochmurnéj nadniemeńskiéj krainy.

* * *

W czasach kiedy żywiołem mężnego serca była wojna, kiedy człowiek znajdował chlubę w sile fizycznéj, w takich czasach ani dziedzic Nowogródka, ani jego synowie, nie mogli siedzieć bezczynnie w komnatach zamku swojego. To też Edźwiłł nie tracił nigdy godzin na hulanki próżne, i jak tylko przyjazna pora zaświtała, zbiérał poczet rycerzy i puszczał się po zdobycz do lackiej ziemi, bo w niéj, jak sam powiadał, znajdował to wszystko, czego dusza pragnie: i wsie bogate, i jeńców dorodnych. Z niéj śliczne branki przywozili młodzi wojownicy do domów.

Czy dlatego, że w Erdźwiłła duszy już zgasły wszystkie ognie młodości, czy że od jakichś wspomnień tęsknych serce mu uwiędło dosyć że nigdy, do żadnéj polskiéj niewolnicy, choćby była tak piękną jak konwalia wonna, albo jak róża ponętna, do żadnéj się nie przymilił, a zawsze ją dla córki jako podarek odsyłał. Ale co dziwniejsza, że nawet synom zakazywał pieszczot z brankami; może nadto je szanował, może która z nich kiedyś bardzo mu drogą była, a może też nie chciał młodych orłów zachęcać do starania się o zdobycz, któréj oddanie zwyciężonym przynosi więcéj bólów, aniżeli śmierć sama.

Egle czule ojcu za każdy jego podarek dziękowała, a nacieszywszy się widokiem pięknego lica Laszki, odsyłała ją do ojczystéj ziemi; dlatego też Egle nietylko na Litwie, ale i w ziemi lackiéj stała się słynną z dobroci i cudnéj piękności swojéj.

* * *

Zamek Erdźwiłła stał pusty. Pan z synami wyjechał na wojnę, ale lada chwila miał już powrócić do domu i przywieźć podarki dla córki, a ofiary dla bogów Romnowe.

Egle tęskna błądziła po obszernych komnatach, błądziła samotna i cicha; czasem wzniosła jéj postać zajaśniała na krużganku, czasem jéj błękitne oko patrzyło na południe, jakby tam i powietrze było dla niéj wonniejsze, i niebo jaśniejszą śmiało się pogodą. Ach! bo tam i ojciec, i bracia, i cały kwiat rycerstwa walczył dla dobra ojczystéj strony.

U stóp zamku leżało obszerne jezioro, czyste i ciche, jak czysta i cicha była dusza Egli, tęskne i piękne, jak tęskne jéj serce młodociane. I nieraz Egle nad niém chodziła sama jedna, nieraz rzewna jéj piosnka płynęła w dal po falach modrych, płynęła i konała niesłyszana od nikogo, tylko słyszało je jezioro, jezioro które córce Edźwiłł na własność darował i które odtąd zwało się jeziorem Egli, albo świerków jeziorem.

Gwiazda poranna już weszła na horyzont lazurowy i złote swoje włosy rozsnuła po przestrzeniach błękitnych.

Poranek był podobny do poranku życia ludzkiego, w którym jeszcze żadna burza losu nie zamąciła spokoju duszy młodocianéj.

Egle nie mogła pozostać długo w cieniach zamku ojca, a sen jéj nie chciał ukołysać. Sercem Egli miotało jakieś przeczucie nieodgadnione, zdawało się jéj że ojciec już niedaleko, że on zaraz powróci, że go uściśnie za chwil kilka; zdawało się jéj że on dla niéj podarek miły przywiezie: tak sen wywróżył, sen, którym ją obdarzała łaskawa Praurima (bogini miłości) wtenczas, kiedy bogowie córce Edźwiłła coś miłego zesłać mieli.

Z piérwszym więc dnia rozświtem zerwała się Egle z posłania, wyszła na krużganek, i oparłszy o jego kraty białe dłonie, zadumała się głęboko. U jéj stóp drzémało jeszcze sine jezioro, i tylko para białych łabędzi falowała wody spokojne. Czujném uchem Egle słyszała tylko bicie swego serca i plusk łabędzi sterujących cicho po toniach kryształowych.

* * *

Z dnia rozświtem zajaśniała natura całym blaskiem dzikiéj piękności swojéj. Oko księżniczki spoczywało jeszcze na widokręgu. Horyzont zamykał siny pas lasu i pasmo gór dalekich. Wtém Egle drgnęła; zdaleka doszły ją głosy rogów wojennych, a z boru wysunęła się ciemna wstęga, i łamiąc się na tysiąc zakrętów, pędem potoku biegła w stronę zamku nowogrodzkiego.

— Ach! to ojciec z wojny wraca! zawołała Egle, i lotem śnieżnéj gołąbki pobiegła do komnat: ale wprzód nim rygle żelazne, drzwi tarasujące, zdołała poodmykać, już poczet rycerzy przebył okopy zamku i stanął na murawie wyścielającéj podwórze.

Egle z krzykiem radości rzuciła się w objęcia drogiego ojca i braci kochanych. Przez chwilę nie było nic słychać, oprócz słów powitalnych, rżenia rumaków i westchnień branek lackich, co ze spuszczoną głową, że łzawém okiem, siedziały na koniach, wyczekując ze smutną rezygnacyą dalszego swego losu.

— Patrz siostro! rzecze najstarszy syn Erdźwiłła; patrz jaką cudną kochankę przywiozłem sobie z wojny!.. I to mówiąc, wziął za cugle konia, na którym siedziała smutna Laszka, i przyprowadził go przed siostrę. Egle spojrzała, branka spojrzała także na księżniczkę.

— Mój drogi bracie! mój Wojsiełku jedyny, daruj ty mi tę brankę na gościniec. Ona taka młoda i piękna.... jabym ją sobie przybrała za siostrę, onaby mi chwile samotności słodziła.

Wojsiełk rzucił okiem na Laszkę i nic nie mówił.

Ale księżniczka przypadła ku niemu, objęła ręką szyję braterską, przycisnęła go do piersi, i prosiła aby jéj brankę darował.

— Och siostro! przemówił Wojsiełk wreszcie, jabym ci moje serce wydarł, jabym ci duszę moję oddał, ale branki nigdy! Patrz, jaka ona cudna! patrz siostro i powiédz czy widziałaś kwiat milszy w naszéj stronie, czy nawet na górze Połągi są mu podobne?

— Pamiętasz Wojsiełku tego sokoła, którego mi ojciec darował?

— Sokół, młody sokół! czemu on nie mój?!.. westchnął młody rycerz.

— Ja ci go oddam w zamian za Laszkę, przemówiła księżna.

— I sokoła nie chcę, i branki niedam.,

— Wojsiełku drogi, czy ty chcesz bym ja umarła z tęsknoty? Ja młoda, ja sama jedna więdnę w tych murach zamkowych, wtenczas kiedy wy jedziecie na wojnę; a ty mój bracie nie chcesz dać mi kaliny, która i mój żal utuli, i moje tęsknoty osłodzi w chwilach kiedy was niéma.

Wojsiełk podumał, spojrzał na Laszkę, westchnął i podał siostrze cugle jéj konia.

A Laszka zsunęła się z konia i skłoniła głowę do nóg księżniczki. I była podobną do białéj lilii, zwarzonéj wiatru podmuchem, skłaniającéj swoję głowę tam, kędy słońce pogodne zabłyśnie.

* * *

Stary Erdźwiłł stał dotąd na boku i patrzył pochmurném okiem na syna, i znać było z jego rysów że się gniewa, widząc Wojsiełka tak długo opierającego się czułym prośbom siostry. Ale kiedy rycerz dał się wreszcie wzruszyć, kiedy branka leżała u nóg księżniczki, pan Nowogródka przystąpił do córki, ujął ją za rękę i rzekł:

— Zapomniałaś, lube dziecię, o ojcu, chociaż on o tobie zawsze pamięta, nawet wtenczas, gdy w około wre bitwa okrutna. Patrz córko, i jam dla ciebie przywiózł podarek, i to mówiąc wskazał na stojącego tuż przy nim jeńca lackiego. Stał on dotąd ze związanemi rękoma i pochmurném okiém spoglądał na brankę płaczącą; i całe piekło wrzało mu w duszy, gdyż walkę tych uczuć znać było na jego młodocianém, piękném i szlachetném obliczu. Będzie ci sokoły nosił, będzie ostrzył strzały i ujeżdżał konie, bo zręczny jest do tego.—Nawet w potrzebie potrafi i od napaści cię obronić, gdyż męztwa swojego dał nam już dowody; żywcembyśmy go nie wzięli, gdyby Wojsiełk nie uchwycił téj dziewczyny, albowiem wtenczas młody Lach przestał walczyć i sam się oddał za jeńca.

Branka powstała z kolan, a Egle zapytała łagodnie jeńca:

— Będzieszże ty mi wiernie służył, młody Lachu?

Młodzian spojrzał na cudne lica księżniczki i rzekł:

— Tylko twoim będę niewolnikiem.

— A cóż ty umiesz mój sługo? zapytała znów słodko Litwinka.

— Umiem walczyć, cenić honor, umiem kochać, umiem grać na lutni i śpiéwać czułe piosenki.

— Och ja lubię dźwięki lutni, szepnęła Egle, spuszczając ku ziemi powiekę; potém skinęła rączką na jeńców, aby za nią udali się w zamku podwoje.

Wojsiełk poszedł wydawać wojsku rozkazy; Erdźwiłł udał się do swoich komnat, aby zrzuciwszy zbroję, wypocząć trochę na niedźwiedziéj skórze i odetchnąć swobodnie po trudach i niewczasach wojennych.

* * *

Księżyc już trzy razy ostrzygł srébrne rogi, odkąd Egle została panią młodego Lacha i pięknéj Laszki. Już trzy razy księżyc był w pełni, jak została siostrą niewolnicy, a najmilszym aniołem niewolnika. Często też, gdy ojciec wyjedzie z braćmi na łowy do puszcz okolicznych, Egle zostaje w Nowogródku. Trochę ją dręczą smutki branki, a jéj oczy, często zapłakane, nie dają pokoju księżniczce. Ale niebios roskosze kołyszą jéj białém łonem wtenczas, kiedy jeniec weźmie cytrę, usiądzie pod brzozą płaczącą i zacznie nócić piosnki o rodzinnéj ziemi, o życiu gołębi na dębie gruchających. Egle patrzy wtenczas w oblicze śpiéwaka, i blednie i czerwieni się naprzemian; a gdy najtęskniejszéj on dotknie struny, gdy najrzewniejszą nótę przypomni, o! wtenczas łzy na oczach Egli błyszczą blaskiem rosy porannéj, w świetle wschodzącego słońca grającéj; nieraz nawet tak struna jéj uczuć natęża się wysoko, że śpiewak, bojąc się aby ona nie jęknęła dysharmonią, musi swoich dumek zaprzestać.

Nieraz, kiedy Egle siedziała nad jeziorem oparta na ramieniu Laszki, kiedy w jéj ciemnych warkoczach kryła lica, aby zatopiwszy wzrok w cieniu, mogła lepiéj przypatrzyć się rysom twarzy śpiewaka przed nią stojącego, nieraz przychodził wtenczas stary Erdźwiłł. Ale zastawszy w takiém lubém zadumaniu miłą córkę, nie naganiał jéj tego zupełnie, a tylko na Lacha znacząco spozierał; lecz gdy śpiewak nie spuszczał czarnych oczu ku ziemi, to pan Nowogródka uśmiechnął się, machnął ręką i poszedł do synów na radę. Odszedł nic nie mówiąc córce, bo i nacóżby się zdały napomnienia, kiedy Egle w Nowogródku była panią samowładną.

* * *

— O! lepiéjby mi było, gdybym ciebie nie poznała nigdy, młody rycerzu lacki! byłabym może jeszcze spokojna w swojéj cichéj samotności.... Mnie słodko, mnie lubo przy tobie, ale ty się rwiesz, ale ty mię błagasz, bym ci pozwoliła wrócić do ojczyzny. O idź i nie wracaj, i zostaw biédną Eglę...

— Pani moja droga! nie smuć się. Ja pojadę do swoich, ja obaczę tylko, czy ojciec a matka żyją, i znowu tu wrócę, aby być twoim wiecznym niewolnikiem. Gdym ja przy tobie, zdaje mi się jakbym skrzydła posiadał; gdym ja bez ciebie, zdaje mi się jakby mi całunem oczy zakryto. Ale Egle, pozwól mi pojechać do ojczyzny, pozwól moję siostrę, młodą Gertrudę, odwieźć narzeczonemu. Ona kocha cię, jéj żal rozstać się z tobą; jednakże w ojczyznie są dla niéj jeszcze droższe istoty. Tam ją oczekuje kochana matka, tam drużki plotą dla niéj ślubny wieniec i białą suknię do ślubu szyją; tam jéj miły ręce łamie z rospaczy i wyrzeka przeciw Bogu i ludziom, bo nie wié gdzie się podziała jego narzeczona. Egle, jedź ty ze mną! Ja mam włości liczne i poddanych wielu, ja mam zamek mocny. Ani ojciec twój, ani bracia nie

zdobędą go, jeżeli będę bronił przystępu: nie lękaj się więc ich zemsty.

— Nie Wacławie! nie jedyny! Ja ojca nie mogę rzucić starego; gdy mnie nie będzie, kto po boju go upieści? kto mu smutki rozerwie? kto jego głowę siwą utuli na kolanach?

— Więc siądę na wronego, odwiozę swoim siostrę i znowu powrócę, a powrócę jak mi zbawienie miłe, bo zbawienie moje tylko przy tobie, księżniczko nowogrodzka.

Tak mówił młody jeniec Wacław i pochylił swoje kolano przed córką Erdźwiłła, i całował jéj ręce, a ona pieściła go czule i mówiła drżąca od szczęścia:

— O moje ty słońce! mój ty ptaku lekkopióry! Czémże będzie moje życie, gdy odlecisz na zawsze z nad świerków jeziora, gdy nie wrócisz więcéj do zamku nowogrodzkiego?

— Wonna kalino! jutrzenko poranna! Powrócę niedługo, o powrócę pewno, by pozostać z tobą na wieki!...

I wsadził Wacław na konia drżącą z radości Gertrudę, drżącą i smutną, i pobiegł szybko w południową stronę.

Ale wprzód nim Laszka odjechała nazawsze z Nowogródka, pożegnała czule księżniczkę, która jéj ścisnęła rękę i rzekła cicho:

— Do zobaczenia, moja siostro.

Poleciał Wacław lotem sokoła, pobiegła z nim jego siostra, przytulona do braterskich piersi. A kiedy mijali wsie i bory litewskie, to każdy poczciwy człowiek, patrząc na tych jeźdźców, dziwił się bardzo, bo nie wiedział czy ich za duchy, czy za ludzkie dzieci brać wypada. Niejeden rycerz nawet strzałę puścił za niemi, bo brał ich za zbiegów; ale gdy lotny koń wyskoczył z pocisku, pomyślał że to pewno są bogów posłańcy, z ich rozkazami do Romnowe pędzący.

Egle pozostała w zamku nowogrodzkim samotna, o! samotniejsza jeszcze, jak była dawniéj. Pozostała z zadumą na licu, z smutkiem na czole i żalem w sercu. Ani ją już bawiły pieszczoty ojca, ani ją cieszyły mężne czyny braci; nawet słońce poranne i gwiazdy iskrzące nie zajmowały jéj oczu. Ona podnosiła swe spojrzenia do niebios, oczekując aż na nich zabłyśnie gwiazda świetlana. Ona posyłała swoje myśli na południe, w daleką, obcą stronę; ale ztamtąd nawet wiatru powiew dźwięków lubego głosu jéj nie przynosił.

Próżno sędziwy ojciec i mężny Wojsiełk chcieli księżniczkę rozerwać, prowadząc ją z sobą na łowy. Ona dawniéj lubiła bujać na śmiałym żmudzkim rumaku, po obszernych równinach, ale teraz niechętnie zamek opuszczała, i pochylona, smutna, nie tam patrzyła kędy jéj dzielny sokół czaplę gonił, ale tam, kędy młody lacki jeniec zniknął niedawno, ale tam, kędy świerków jezioro drzémało spokojnie, kąpiąc sinym nurtem warkocze brzóz płaczących, kędy niedawno tęskne piosenki budziły ze snu białe łabędzie, lubiące wsłuchiwać się w dźwięki pieśni ich rajskie życie opiewającéj.

* * *

— Czego, droga córko, stoisz taka blada? Czemu załamałaś ręce i patrzysz w mglistą dal? Zdaje się jakby tam, za siném pasmem gór, przebywało twoje szczęście i przedmiot snów różowych.

— Ej, droga siostro, rozwesel oko błękitne i spojrz przecie na nas, na świat, jakeś patrzyła, nimeśmy na ostatnią wojnę wyjechali.

Tak przemówili czule Erdźwiłł i Wojsiełk, zastawszy Eglę zadumaną nad jeziorem.

— Moje myśli i moje szczęście daleko odemnie, to i nie dziwcie się, drodzy, że mi smutno w duszy, odparła dziewczyna.

— Porzuć żale, siostro. Patrz! oto wrony stoi i czeka na ciebie. Dosiądź wrzącego konia, weź sokoła i pojedziemy na łowy. Patrz! nawet i ta Laszka, któréjś wolność darowała, powróciła znów do nas.

Zbladła nagle Egle, ujrzawszy samę jednę Gertrudę, która z krzykiem boleści rzuciła się jéj w objęcia.

Ale Egle nie pośpieszyła swoję lubą siostrę uścisnąć: odskoczyła prędko od niéj i ponurym głosem zapytała:

— Wacław, nie powróciłże z tobą? Twój brat zapomniałże o mnie?

— Wacław już nie żyje, jęknęła Laszka. Strzała litewskiego rycerza przeszyła mu serce. On skonał, jam go piaskiem przysypała, a twój koń, księżniczko, przywiózł mię znów do Nowogródka.

— On nie umarł! on spieszy do mnie przez fale! zawołała dziko Egle. O pójdź, najdroższy! pójdź! I wyciągnęła ręce ponad wody, i rzuciła się z wysokiego brzegu w ich modrą toń, w głębinę niezmierzoną, kędy jeszcze żaden pływak dna nie dosięgnął.

Łabędzie, przestraszone pluskiem i żałośnym krzykiem, odleciały w poblizkie sitowia.

Erdźwiłł i Wojsiełk rzucili się na pomoc; lecz napróżno: żaden z nich nie znalazł księżniczki, żadne oko jéj więcéj nie widziało.

Nie wystąpiła ona z topieli ani na prośby ojca, ani na jęki Gertrudy. Nie wróciła Egle, bo ją unieśli do pałacu z kryształów, bogowie w jeziorze świerków mieszkający.

Myśli oderwane.

De mortuis aut bene—aut nihil. Każdy zna tę maksymę, większa część nawet wykonywa ją, ale mało kto wykonywa tak, jakby wykonywać ją należało. Zapominamy, że tu jak i wszędzie prawda przewodniczyć powinna. Prawda nakazuje mówić o tém co wzniosłe, szlachetne, piękne i dobre, aby oddać należny hołd zasłudze i postawić wzór do naśladowania. To jest *bene*. Nie będzie obrazą prawdy, jeżeli strony ujemne pokryjemy milczeniem, bo wyszły z użycia egipskie sądy umarłych. To jest *nihil*. Ale jeżeli zapominając niejednéj rzetelnéj zasługi, o któréj należałoby powiedzieć: *bene*, z jakichbądź pobudek wynosimy to co jest poziomém, o czém lepiéj byłoby wyrzec w milczeniu: *nihil*, to fałszywie stosujemy maksymę, grzeszymy przeciwko prawdzie.

Zasada pracy. Pracujemy wszyscy, ale niedosyć na tém. Ważną jest rzeczą odgadnąć prawdziwą pracy zasadę, wiedzieć dlaczego mamy pracować. Jedni pracują aby zdobyć kawałek powszedniego chleba, drudzy nagleni przymusem rozlicznéj natury, a są i tacy którzy pracują dla zabicia czasu. Pobudki te nie są trwałe. Kto zdobędzie dość chleba na dziś i na jutro, nad kim przymus ciążyć przestanie, kto znajdzie sposób zabić czas jakiémkolwiek choć bezpożytecznem zajęciem, ten nie weźmie się do pożytecznéj pracy, i zostanie próżniakiem, darmozjadem. Jeżeli zaś zgodzimy się że praca jest potrzebną, aby wspólnemi siłami wciąż dźwigać ogromną machinę ludzkości ku mecie z góry wytkniętéj, to przyznamy także, iż trzeba odszukać zasady i pobudki niezmiennéj, któraby starczyła za ciągłą do pracy podnietę. Zasadą tą jest *obowiązek* odwieczném prawem włożony na każdego człowieka, obowiązek przykładania wszystkich sił swoich ku dobru ogólnemu. Jeżeli tę pobudkę uznamy, jeżeli ona będzie nas do pracy podniecać, to nie ustaniemy w *pożytecznéj* pracy do ostatniego tchnienia.

Sława. Jest to odgłos podziwu i błogosławieństwa, lub zgrozy i złorzeczenia, obudzony przez wielkie czyny—cnoty lub zbrodnie—odgłos co się rozlega od końca do końca ziemi i z pokoleń w pokolenia przechodzi. Odgłos ten doniósł nam imiona Leonidasów i Tamerlanów, Cyncynnatów i Katylin. Żądza sławy niejednego do wielkich czynów zapaliła, ale chyba tylko jeden Herostrat przez chęć wsławienia się został zbrodniarzem. Więc żądza sławy jest uczuciem szlachetném. A jednak czyn zkądinąd najświetniejszy traci niepokalany blask cnoty, jeżeli jedyną jego pobudką był osobisty interes, choćby tak szlachetnéj natury, jak jest żądza sławy. Cnota o tyle tylko jest cnotą, o ile nie wypłynęła z żadnéj rachuby dla siebie, z żadnych widoków nagrody. Prędzéj lub późniéj każdemu stanie się sprawiedliwość — sława i cześć u ludzi uwieńczy imię zacne; tylko niech ta nagroda będzie skutkiem cnoty, ale niejéj przyczyną.

ROZMAITOŚCI.

Telegraf wodny. Fizyk francuzki de Lucy, wpadł na myśl użycia wody za środek do przesyłania znaków telegraficznych, na zasadzie układania się cieczy do równowagi. Chciałby zastosować przyrząd podobny, w miejsce elektryczności, do komunikacyj podwodnych.

Wiadomo że w dwóch rurkach prostopadłych, połączonych inną poziomą, płyn układa się do poziomu. Zrobiwszy na ich końcach podziałkę, oznaczającą litery lub znaki jakie, utworzy się rodzaj telegrafu, dolana bowiem woda w jednym końcu aż do pewnéj przedziałki i w drugim do téjże wzniesie się wysokości, to jest po kréskę lub literę, którą oznaczyć chcemy stopień.

Ponieważ sposób ten w zastosowaniu potrzebuje zbyt wiele czasu, przeto de Lucy podaje łatwiejszy, zalecający się szybkością, bo oparty na uderzeniu i odbiciu

Jeżeli na obydwóch końcach rury łączącéj, zamiast rurek piowych umieścimy bańki, zamknięte u wiérzchu cienką blaszką miedzianą lub błoną sprężnikową (gumma elastyczna) poprzednio przyrząd cały napełniwszy wodą, wtedy uderzając laseczką w błonę wyprężoną na jednym końcu rury, drżenie sprawione w wodzie przechodzi wzdłuż przyrządu z prędkością nadzwyczajną, i podnosi błonę umieszczoną w końcu przeciwnym. Chociażby uderzenia następowały po sobie o ile można najszybciéj, to zupełnie odpowiednie działanie odbywa się na drugiéj błonie. Wiemy zaś że fale płynne postępują z szybkością 1330 metrów, (2250 łokci) na sekundę (około 15 mil na minutę).

Gdyby przyrząd podobny istniał między Calais i Douvres, w ośmnaście sekund doszłoby piérwsze drżenie, a za niém następowałyby inne bez przerwy; zaś z Irlandyi do Ameryki piérwszy ruch przybyłby w trzy kwadranse.

Przy błonie odbijającéj uderzenia, zastosowywa się drążek mogący się podnosić i opadać; do niego zakłada się sztyft ostry, który, jak w telegrafach elektrycznych, robi znaki.

Lampa podwodna. W roku przeszłym robiono w Paryżu próby z lampą, wynalazku pana Guigardet lampiarza w Marsylii, które bardzo pomyślnie wypadły. Nie potrzebujemy dowodzić, jak jest potrzebną przy robotach podwodnych lampa oświecająca dno rzeki; ograniczamy się na podaniu opisu tego przyrządu.

W lampie pali się mięszanina alkoholu i essencyi terpentynowéj. Lampa ta jest umieszczona w walcu szklanym, szczelnie zamkniętym i tak mocnym, aby wytrzymał ciśnienie wody; u góry walec zakończony jest rurą czyli kominem, przez który dym i gazy powstające w skutek palenia wychodzą.

Dwie rury pionowe. umieszczone po bokach u spodu walca, dostarczają potrzebnego powietrza; na samym dole przystosowane jest naczynie, połączone z walcem i rurami powietrznemi, a służące do zbierania wilgoci zgęszczającéj się w rurach lub walcu, która inaczéj przyćmiłaby płomień.

Nareszcie u spodu naczynia jest hak, z ciężarem nadającym przyrządowi położenie prostopadłe; zaś przytwierdzony pływak utrzymuje go w głębokości żądanéj.

Próbowano téj lampy w Sekwanie; nurek, spuściwszy się z nią, mógł rozpoznać działanie założonéj miny i pozbiérać kamienie jakie wyrzuciła.

Za pomocą lampy téj można wśród nocy i w wodzie mętnéj opatrzyć spód statków, zrobić naprawki, zakładać miny podwodne, rozpoznawać dno rzeczne, jedném słowem wykonać wszelkie roboty hidrauliczne, wymagające dotychczas światła dnia pogodnego.

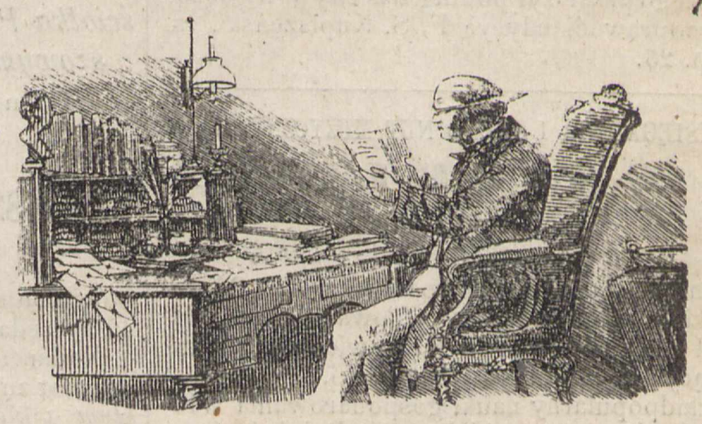

Odebraliśmy list z Krakowa, którego autor, p Gustaw Czernicki, oświadcza, że jakkolwiek w zakresie swoim podejmuje część starań około „Biblioteki polskiéj“, samo jednak wydawnictwo téjże i jego kierunek zostawały i zostają bez przerwy przy p. Turowskim. Sprostowanie to, spowodowane wyrażeniem się naszego korrespondenta w Nrze 26 Tygodnika, w artykule p. n: „Ruch dziennikarski w Galicyi“, chętnie na żądanie p. Czernickiego zamieszczamy.

Panu R S T oświadczamy, że obrazek jego przeczytaliśmy z przyjemnością. Wiele tam uczucia i zapału młodzieńczego; ale przedmiot nieco już zużyty i zbyt obfite marzenia erotyczne, zdaniem naszém do druku czynią go niestosownym.

Panu A. M. w Danges. Sonet poświęcony cieniom Adama nacechowany jest talentem; radzimy jednak autorowi myśl swoję oblekać w formę przystępniejszą. Trochę mniéj mistycyzmu, a więcéj prostoty.

Panu F. Ko. z nad Rosi. Cztéry rysunki, wraz z tekstem, otrzymaliśmy i szczérze za nie dziękujemy. Grobowiec i fontannę postaramy się wkrótce umieścić w Tygodniku Zpomnika Bł., użytku zrobić nie możemy. Tęczyn spóźniony. Na zapytanie Pańskie, czy redakcya przyjmuje rysunki robione piórem i chemicznym atramentem, odpowiadamy, że sposób wykonania rysunków jest dla nas rzeczą obojętną, gdyż one w każdym razie posłużyć nam tylko mogą za materyał do przeniesienia ołówkiem na drzewo.

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście,
w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła:

Mazepa poemat Lorda Byrona, przekład wolny na wiersz polski, przez Michała Chodźkę, 1860 r., cena kop. 50; Sprawa graniczna, powieść z tegoczesnych zdarzeń, przez F. S. Dmochowskiego. Warszawa 1860 r., cena kop. 90; Życie w Parafii, opowiadanie Cześnikiewicza, tom 1, 2, 3, z przedpłatą na 9 tomów, cena rs. 6; toż samo na papierze welinowym rs. 7; Praktyczna nauka hodowania drzew owocowych z osobliwszym względem na włościan i młodzież szkolną, po wsiach i miasteczkach, przez F. W. Ulrycha ułożona; Tłumaczenie Lompy, Bochnia 1859 r., cena kop. 25.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

G. Gebethnera i spółki,

w Warszawie przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Ner 415 w pałacu JW. hr. Stanisława Potockiego,

otrzymała następujące nowości:

Gospodarstwo narodowe stosowane do praktyki, przez Fryderyka hr Skarbka, rs. I kop 80; Zasady ekonomii politycznéj zgodne z religią chrześciańską zastosowane do gospodarstwa wiejskiego, przez Jana Mittelstaedt, kop. 75; Przewodnik dla służby ekonomicznéj rządowéj zawierający przepisy zawiadywania dobrami rządowemi wydane po koniec 1839 r., zebrane w artykuły uporządkowane podług głównych przedmiotów, rs. 1 kop. 50; Zasady ekonomii politycznéj z niektóremi zastosowaniami do ekonomii politycznej i z niektóremi zastosowaniami do ekonomii społecznéj napisał po angielsku John Stuart Mill tom 1, rs. 1 kop. 20; Kilka myśli względem uregulowania stosunków włościańskich w Królestwie Polskiem przez Aleksandra Ludwiga kop. 20; Instrukcya do urządzenia i oczynszowania włościan w dobrach najmiłościwiéj darowanych, rs. 1; Przewodnik moralności i ekonomii politycznéj, dla użytku klass roboczych ułożony, podług dzieła francuzkiego p. Rapet, przez Karola Forstera, rs. 2 kop. 25.

Księgarnia ta otrzymała na skład główny, nowo wyszłe dzieło p. t.: Zasady ekonomii politycznéj, dla poświęcających się téj nauce i trudniących się stosowaniem jéj do spraw życia społecznego, przez Wilhelma Roscher z niemieckiego przełożył podług trzeciej powiększonéj i poprawnéj edycyi F. S. Kupiszeński, rs. 2 kop. 25.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

R. FRIEDLEINA

w Warszawie,

przy ulicy Senatorskiéj Nro 460,

otrzymała następujące nowości literackie: Album Polskich malarzy z wystawy Towarzystwa przyjacioł sztuk pięknych w Krakowie, tekst objaśniający skreślił Lucyan Siemieński. Cena rs. 3.— Wykładpopularny nauki gospodarowania w lasach, podany przez Aleksandra Połujańskiego. Cena kop. 30,—Bużeńskiego żywoty prymasów Korony Polskiéj i W. X. Litewskiego 5 tomów, Wilno 1860. Rsr. 6.— Rady dla prowadzących ochrony, przez P. Maryą Carpantier, dzieło u wieńczone przez akademię francuzką. Tłomaczenie z francuzkiego. Warszawa 1860. Kop. 50.—Taż księgarnia otrzymała na skład główny ostatnie sto egzemplarzy dzieła p. n. Monografie historyczno - genealogiczne niektórych rodzin polskich, przez Stanisława Kazimierza Kossakowskiego, z przypisami Juljana Błeszczyńskiego, tom I i II. Cena tych dwóch tomów rs. 3 kop. 60.

Nowo otworzona księgarnia J. J. OKOŃSKIEGO, przy ulicy Miodowéj, w pałacu Wgo Piotrowskiego Nr. 426, przyjmuje prenumeratę na następujące pisma peryodyczne: „Czytelnia Niedzielna", rocznie rs. 1 k. 80. „Tygodnik Lekarski", rocznie rs. 3 k. 60. „Biblioteka Warszawska", rocznie rs. 9. „Tygodnik Illustrowany", rocznie rs. 8. „Kurjer Wileński", rocznie rs. 12. Dla dogodności ogólnéj, powyższa księgarnia przyjmuje przedpłaty częściowo, tojest miesięcznie, kwartalnie lub półrocznie.

Nakładem Litografii A. DZWONKOWSKIEGO i spółka (A. Pecq), ulica Miodowa. Nr 432 (4), wyszedł chromolitografowany **Obrazek N. P. Maryi Częstochowskiéj.** Jest to wierna, bo na miejscu, za pomocą fotografii zdjęta kopja Cudownego Obrazu na Jasnéj Górze.

Jakkolwiek wydanie to znaczne za sobą pociągnęło koszta, bo jest w obrazku aż 10 kolorów, a zatem 10 razy drukować go potrzeba było, przecież wydawcy chcąc o ile możności rozpowszechnić go w kraju, sprzedają go po nadzwyczaj taniéj cenie, bo tylko po 10 kop. (20 gr.) za egzemplarz. Kupujący w większych partyach, płacą tylko rs. 7 k. 50 (50 złp.) za sto.

DOM HANDLOWY

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz exystującego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy Miodowéj pod Nrem 492, z dniem 13m grudnia r. z. otwarty został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście

(pod Nrem 15 nowym)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych, francuzkich, angielskich, i innych w najkompletniejszym wyborze, a mianowicie:

Pająki, Zegary stołowe i ścienne, Świeczniki, Wazony, Kandelabry, Lampy stojące i wiszące, Konsolki, Bronzy do firanek, Laski, Broszki, Bransoletki, Deszczochrony A tout cas, Spicrurgi, Portmonetki, Cygarniczki, Pugilaresy, Kapelusze jedwabne paryzkie, Porcelana chińska, francuzka i starosaska, Kalosze i Paletoty gutaperkowe, Przybory do podróży, Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, Mydła i wszelkie wyroby bronzowe i porcelanowe Polecając się prześwietnéj publiczności, wyżéj wymieniony Dom handlowy starać się będzie przez najumiarkowańsze ceny i rzetelną usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie nadal na zaufanie i na względy, któremi dotąd Publiczność go zaszczycała.

SKŁAD

MATERYAŁÓW APTECZNYCH

LUDWIKA SPIESS

ulica Senatorska Nr. 464/5, obok kościołka PP. Kanoniczek, na placu ratuszowym, wprost gmachu teatralnego

donosi iż zawsze zaopatrzony jest

w prawdziwą

Essencyę arakową

w najlepszym gatunku

którą po cenie stałéj tojest funt po rsr. 2 kop 40 sprzedaje.

Nadmienić tu wypada, iż prawdziwa Essencya jest zupełnie *czystym, oryginalnym produktem* tak dalece, iż mniéj więcéj łut tego płynu zmieszany z garncem czystego spirytusu i zafarbowanym nieco cukrem palonym, *bez żadnych innych dodatków*, tworzy *natychmiast* zupełnie dobry arak.

GŁÓWNY SKŁAD MACHIN

I NARZĘDZI ROLNICZYCH

dla Królestwa Polskiego i Cesarstwa Rosyjskiego z fabryki H. *Cegielskiego* w Poznaniu, przy **Zakładzie Rolniczo-Przemysłowo-Leśnym** podpisanych.

Ma zaszczyt donieść, iż fabryka ta połączona z wielką lejarnią żelaza, która tylko **najlepszy surowiec angielski** przetapia, zaopatrzona w liczne machiny pomocnicze i przez biegłych techników kierowana, wyrabia nietylko **machiny i narzędzia rolnicze** do potrzeb krajowego rolnictwa zastosowane, ale także wszelkie machiny i aparaty większe, a mianowicie: **machiny parowe** stałe i przenośne czyli **lokomobile, młyny, olejarnie, cementarnie, tartaki, aparaty gorzelnicze i cukrownicze, prassy hydrauliczne, centryfugi, pompy, sikawki, wagi dziesiętne** (decymalne) równie jak do fabryk i zakładów mechanicznych, wszelkie machiny pomocnicze, jakoto: **tokarnie, heblarnie, wiercarnie, machiny do rznięcia śrub, do rznięcia i ucinania mater** i t. p.

Gotowych **machin i narzędzi rolniczych** utrzymujemy ciągle znaczny zapas w magazynach zakładu naszego, na każde żądanie dostarczać będziemy projektów i kosztorysów na większe przedsiębierstwa rolni-zo-przemysłowe. Przy nadchodzącéj porze polecamy dobór rozmaitych **pługów, zgłębiaczy, extyrpatorów, bron, drapaczy, obsypników, pielników, znaczników, siewników** i t. p.

Ostrowski i spółka.

w Warszawie przy ulicy Rymarskiéj Nr. 742, wprost Komisyi Skarbu.

UWIADOMIENIE

DLA

PRZEMYSŁOWCOW I PRZDSIĘBIERCOW.

Niżéj podpisany technik i fabrykant, poleca się każdego czasu do projektowania i wykonywania wszelkiego rodzaju przemysłowych zakładów, jako to urządzania:

Cukrowni wedle najlepszéj metody i najpewniejszych zysków, bez raffineryi lub z takową.

Fabryk wódek, spirytusów, likierów, araków, z surowych produktów, jako to: żyta, jęczmienia, pszenicy, ziemniaków, buraków i t. d.

Fabryk cykoryi.

Fabryk sody, soli glauberskiéj, i t. d

Hut ałunu i kwasu siarkowego.

Salin, rafineryi i soli.

Farb blejwasowych i octu.

Fabryk krochmalu i krochmaliku.

Fabryk nowego srebra i innych wyrobów lanych, z blachy i drutu.

Sprowadza i urządza wszelkie apparaty i machiny najnowszéj konstrukcyi do tych zakładów potrzebne, przekształca dawniejsze fabryki, zdaje sąd o ich trwałości, doskonałości i innéj potrzebie. Wreszcie, poparty najlepszemi świadectwami i wieloletniém doświadczeniem, podejmuje się w każdym czasie technicznego i kupieckiego zarządu na wyższą skalę urządzonych fabryk

Stuttgart.
W Królestwie Witembergskiém.

Rudolf Leidenfrost.
Technik i fabrykant.

Podpisany poleca także wykształconych techników i chemików do kierowania i zarządu fabryk.

DYREKCYA PRZESYŁEK

WÓD MINERALNYCH

Z EGER-FRANZENSBAD W CZECHACH.

Zawiadamia niniejszém szanowną publiczność, że wszystkie większe składy wód mineralnych, w Niemczech i zagranicą, zaopatruje ciągle świeżemi posyłkami, jakoteż dopełnia w najkrótszym czasie wszelkie przesyłki zamówionych u tejże Dyrekcyi następujących wód leczących.

I. Źródło Franciszka (Franzensquelle), najdawniéj znane z tutejszych źródeł mineralnych. Woda ta jest szczawą alkaliczno-żelazistą, nader przezroczysta, musująca, bardzo przyjemnego smaku; ożywiająca i łatwa do strawienia, zawierająca w sobie najwięcéj soli żelaznych.

Działa najskuteczniéj na żołądek i trzewy, podwyższając siłę trawienia w tych organach; ztąd powstaje oddziaływanie powiększające ilość soków, a czystość i regularność obiegu krwi. Chemiczna analiza p. *Jana Floryana Kellera* professora w Wiedniu dowiodła, że w butelkach przesyłanych, napełnionych wodą z źródła Franciszka, w skutek odpowiedniego opatrzenia i zakorkowania, po długim jeszcze czasie utrzymuje się wielka ilość rozpuszczonego żelaza, co dla lekarza stanowi rzeczywiście pożądany przymiot, jakiego po wodzie żelaznéj oczekuje.

Źródło Franciszka: 1) leczy wszystkie choroby powstające z nieprawidłowego tworzenia się krwi, 2) Cierpienia, które po znacznych krwotokach, utracie soków, porodach i febrach nerwowych powstają. 3) Skrufuły i chorobę angielską. 4) Używa się nakoniec jako dopełnienie leczenia po wodach Karlsbadzkich.

II. Źródło solne (Salzquelle), woda alkaliczna czyszcząca, zasługuje na polecenie, jako jedna z najłagodniejszych i najłatwiejszych do strawienia, ze znanych wód mineralnych; w razach uderzania krwi do głowy, albo gdy inne wody mineralne, sprawiają lekkie krwi wzburzenia, może być używaną z najlepszym skutkiem, jako też i dla chorych mało używających ruchu, lub przymuszonych pić wody w łóżku, źródło to jest najwłaściwszém.

Źródło solne działa szczególniéj na chorobliwe drażnienie błony szluzowéj, a więc jest pomocne: 1) W cierpieniach powstających z chorobliwéj czułości żołądka i kanału odchodowego; w braku apetytu, powstawaniu kwasów i gazowych wyziewów, zgagi, odbijania się wraz z rozlicznemi cechami hypokondrycznych objawów. Woda z tego źródła nieco ogrzana zmieszana z mlekiem lub serwatką leczy powtarzające się często katary żołądkowe połączone boleści organu tego. 2) Długotrwałe zadrażnienia błony szluzowéj w krtani. 3) Gromadzenie się flegmy w płucach i tchawicy przy często wracających się katarach, zwłaszcza u słabowitych i delikatnych osób. 4) Hemoroidy i długotrwałe katary. 5) Przeciw kamieniowi w naczyniach moczowych. 6) Przy odchodzie flegmy zadawnionym.

III. Źródło łąkowe (Wiesenquelle), woda ta jest łagodną szczawą żelazistą, działającą na kanał odchodowy, szczególniéj u osób cierpiących na hemoroidy, a mianowicie: 1) Przy nagromadzeniu się nieczystości w żołądku i kiszkach. 2) Przy nieprawidłowém tworzeniu się krwi, nerwowém przepełnieniu i rozdęciu organów brzusznych. 3) W podagrze.

IV. Nowe źródło (Neuquelle), tak w częściach składowych, jak i skutkach podobném jest wodzie z źródła Franciszka, *działa jednak przeważnie na cierpienia części rodnych i naczyń moczowych.*

Wody te mineralne przesyłają się w kamionkach, albo butelkach opatrzonych etykietą, z nazwiskiem źródła i cynowemi kapselkami, na których rok wybity. Ceny, jako i obszerniéj wyłożone uwagi praktycznych lekarzy, pod względem uznanych powszechnie skutków tych wód, znajdują się we wszystkich naszych składach wód mineralnych, jako też w Dyrekcyi przesyłek wód mineralnych w Eger-Franzensbad.

Winc. Pröhl,
Inspektor.

Dr. Koestler,
Dyrektor Źródeł.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 9 (21) kwietnia 1860 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*